Nr. 1.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XVIII.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1912.

TREŚĆ ZESZYTU.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XVIII.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1912.

Z podróży wizytacyjnej ks. Wizytatora w Brazylii.

(Ciąg dalszy).

Stan S. Catharina w Brazylii, położony na południe od Parany, jest co do obszaru znacznie, bo może o $^2/_3$ mniejszy od niej. Nie umiem podać na pewno jego obszaru. Zwykle podają go na 75.000 km.^{2} Trudno jakieś cyfry pewne pod tym względem znaleźć, tem więcej, że granica między Paraną a S. Catharina jest w wielu punktach sporna, jedni więc zaliczają do S. Catharina obszary, które znów inni Paranie przyznają. Najwięcej spory się toczą o ogromny obszar terytoryum, na którym znajduje się Lucena i Rio Negro, gdzie rośnie obficie Herva Matte, której nie ma cała S. Catharina. Nadto cały ruch handlowo-wywozowy z tego obszaru nie kieruje się na północ w głąb Parany ku Kurytybie, ale na wschód przez północno-wschodnią część S. Catharina ku tamtejszym nadbrzeżnym miastom, jak Joinville i port S. Francisco. Stąd mieszkańcy S. Catharina ogromnie się o ten szmat Parany dobijają. Przed paru laty najwyższy trybunał w Rio de Janeiro rozstrzygnął spór na korzyść S. Catharina, ale nic jej nie pomogło to teoretyczne przyznanie prawa, w obec stanowczego oporu Parany, która z bronią w ręce swego terytoryum gotowa bronić. Zostało więc tymczasem w status quo.

Klimat tego stanu jest gorętszy, na ogół wziąwszy, jak w Paranie. Teren poprzerzynany pasmami gór ma w swych wąwozach i kotlinach nieznośnie parne gorąco. Należy tu wprawdzie odróżnić, tak jak i w Paranie, część kraju wschodnią niżej położoną, więc gorętszą, stanowiącą pas nad morzem, szerokości mniej więcej 12 mil, oddzieloną w całej

szerokości od północy ku południowi pasmem gór wysokich 800—900 m., które ku zachodowi łagodnie się obniżając stanowią drugą część tego kraju, wyżynę zachodnią, gdzie jest nieco chłodniej, ale ogólnie licząc jest to kraj znacznie gorętszy. W części chłodniejszej, zachodniej, udają się ważniejsze gatunki zboża i owoców środkowo europejskich, a we wschodniej części roślinność jest tropikalna, nieznosząca temperatury niżej zera. Hodują tam kawę, trzcinę cukrową, bawełnę etc. — W lecie temperatura przeciętna całego stanu dochodzi w cieniu do 30° R. W zimie przeciętna temperatura w południe wynosi 16—20° R. w cieniu. W lecie, a więc w naszych miesiącach zimowych, jak w styczniu, ustaje praca i ruch na wolnem powietrzu między godziną 11 a 3 w południe prawie zupełnie, z powodu upału.

Ludność, wynosząca około 300.000, (a więc o wiele lepsze zaludnienie jak w Paranie) jest w $^1/_3$ niemiecka i należąc do warstwy rządzącej nadaje temu stanowi charakter niemiecki. Blumenau, Joinville, Brusque, to miasta niemieckie. Kolonizacyę niemiecką podjęło tu potężne Towarzystwo kolonizacyjne Hamburskie, założone w r. 1849, a po niem objęło tę akcyę jeszcze silniejsze Towarzystwo Hanzeatyckie, założone w r. 1897, z kapitałem 1,100.000 mk., któremu rząd tamtejszy odstąpił 650.000 ha. ziemi (po $1^1/_2$ milr.) pod kolonizacyę. Rozumie się samo przez się, że obydwa te Towarzystwa kolonizacyjne starały się tu sprowadzić kolonistów niemieckich. Ponieważ jednak wedle kontraktu, zawartego z rządem w r. 1895, musi Towarzystwo ten kompleks gruntów skolonizować w 20 latach, a w przeciwnym razie grunt nie skolonizowany wraca po upływie tego czasu bezpłatnie do rządu, więc oczywista, że w braku kolonistów niemieckich, przyjmują i kolonistów innej narodowości. Kolonizacya ta niemiecka tak wcześnie tutaj rozpoczęta, tak zorganizowana i z takimi kapitałami, musiała wydać rezultaty zupełnie inne, jak n. p. kolonizacya polska w Paranie. Tutaj ładne niemieckie miasta, w wielu municypiach niemiecki zarząd i dobrobyt. Polaków jest w tym stanie stosunkowo nie wielu, będzie ich może z 4—5000.

Najwięcej ich jest w t. zw. okręgu rzeki Itapocu, t. j. w północnej części stanu, gdzie dwa największe centra Polaków są Rio Vermelho i Massaranduba. Ku połuduiowi są w Pinhoral, Tubarao i w Kokal. Nadto są rozsiani sporadycznie tu i ówdzie. W stolicy stanu we Florianopolis jest 25 rodzin. Ksiądz polski jedyny na całą S. Catharinę, ks. Chyliński, który prawie od początku polskich kolonii, a więc od mniej więcej 20 lat tu pracuje, osiadł od pewnego czasu na stałe w Kokalu. Przed mniej więcej 10 laty w Rio Vermelho był ks. Wyszyński, który jednak przed kilku laty wyjechał do Ameryki północnej i tamże pozostał. Polacy więc w całej północnej części stanu byli bez kapłana Polaka. Rio Vermelho należy do municypium S. Bento, gdzie są księża niemieccy Zgromadzenia N. Serca P. J. Massaranduba zaś jest odległa 50 km. od Blumenau gdzie są niemieccy Franciszkanie. Pod względem więc kościelnym, należą ci Polacy do tych dwóch ognisk duchownych. Te dwa Zgromadzenia mają w S. Catharina prawie wyłączny wpływ duchowny. Niestety księża ci, przejęci duchem prusko-niemieckim, zrazili sobie Polaków, a przez to odstręczyli ich też od swego duszpasterstwa. Do Massaranduby przyjeżdżał z Blumenau jeden z Ojców Franciszkanów, gdzieś ze Ślązka rodem, który umiał nieco po polsku, ale stosunki pod względem duszpasterstwa były mimo to opłakane. — Dodam jeszcze, że poprzednio należała S. Catharina do dyecezyi Kurytybskiej, skąd poprzedni biskup zwiedzał raz S. Catharinę i przy tej sposobności zwiedził i Rio Vermelho. Uznał już wtedy popotrzebę polskiego księdza tamże. Od mniej więcej 4 lat stanowi S. Catharina osobne biskupstwo ze stolicą we Florianopolis (Desterro), w stolicy stanu. Biskupem jest ks. Becker, niemiec rodem, kapłan świątobliwy, gorliwy, a przy tem dla Polaków sprawiedliwy. Rozejrzawszy się w stosunkach zwrócił się do naszych księży w Lucenie, prosząc, aby o ile możności zaopiekowali się Polakami w jego dyecezyi. Do mnie kazał pisać i prosić o Misyonarzy polskich dla S. Catharina. Nalegano też o to na mnie usilnie, a tymczasem do-

jeżdżali Konfratrzy z Luceny do Rio Vermelho (120 km. drogi) parę razy w rok, aby Polaków ratować. Dwa razy wyprawiali się aż do Massaranduby, (200 km. od Luceny) aby i tamtych Polaków podnieść na duchu.

Otóż żeby tę sprawę opieki duchownej nad Polakami w S. Catharina załatwić definitywnie, odbyłem moją podróż do tego stanu. Ponieważ należało tę rzecz z ks. biskupem załatwić, postanowiłem więc udać się do Florianopolis. Aby zaś kolonie te polskie po drodze zwiedzić i naocznie się o stanie Polaków tamtejszych przekonać, jak również aby więcej poznać kraj, postanowiłem całą tę podróż odbyć lądem. Droga ta wynosi przeszło 400 km., a odbyć ją trzeba częścią konno, a częścią tylko można jechać wozem. Możnaby część tej drogi mniej więcej odbyć morzem, a mianowicie dotrzeć do portu S. Francisco i z tamtąd okrętem na południe do Florianopolis. Ze względów wyżej wspomnianych jechałem lądem.

Z Luceny wyjechaliśmy 13 stycznia o godz. 10 przed południem z ks. Kominkiem i zwykłym towarzyszem moim ks. Chylaszkiem. Kolonista, nazwiskiem Pruszak podjął się nas swoją czwórką odwieźć do Rio Vermelho. Droga zapowiadała się ciężka, bo po ulewnym deszczu było błoto i ślizgały się konie wraz z wozem na tamtejszym górzystym terenie. W drodze otrzymałem przez posłańca z Rio Negro telegram od ks. biskupa z Florianopolis, który zawiadomiony o mojej podróży, wysłał mi jurysdykcyą i serdeczne wyrazy. Gościniec, którym odbywaliśmy tę podróż aż ku S. Bento, to trakt, którym t. zw. karosejrzy, t. j. zawodowi furmani, w olbrzymich brykach ciągnionych przez 8—12 koni, wożą produkta, a zwłaszcza herbatę i zboże z Luceny i okolicy do Joinville i S. Francisco. Jest to więc trakt nieco ujeżdżony, a więcej rozjeżdżony, miejscami wertepy i doły straszne. O jakiejś szosie czy wyrównaniu drogi niema tam mowy, miejscami jest czasem kawałek rowu wykopany po bokach drogi. Nad traktem tym, w odległości mniej więcej 48 km. od Luceny jest Rio Negrinho, miejscowość na-

zwana od rzeki tej nazwy, którą stanowią jedynie zabudowania, a zwłaszcza „hotel“ niejakiego Bornemanna, ożenionego z Polką z Luceny. Jest to stacya zwykła podróżujących tym traktem między Luceną lub Rio Negro a S. Bento, do której starają się wszyscy na noc dostać. I myśmy tu zajechali wieczorem i zastaliśmy już dużo „karosejrów“. Konie puszcza się tu w lasy na paszę, podróżni posilą się u Bornemanna, a potem karosejrzy śpią na swych brykach; tacy zaś podróżni, jako my, co do wozu tak nie przywykli, w „hotelu“. Nad ranem zbudził nas posłaniec z Luceny, który przez lasy i wertepy spieszył tu krótszemi ścieżkami za nami, przynieść listy, które nadeszły do mnie do Luceny tuż po moim wyjeździe stamtąd. — Przez cały miesiąc następny już mnie poczta nie dochodziła. — Rano o $5\frac{1}{2}$ puściliśmy się w dalszą drogę. — Około 9 przejeżdżamy w czarownej okolicy rzekę Rio Preto, która stanowi granicę obecną, faktyczną, między S. Catharina a Paraną. Mieszka tu niejaki Kamiński, Polak, który już po polsku nic nie umie. Przyszedł tam do nas, gdyśmy nad rzeką przystanęli i fotografowali cudne widoki. Ale ból ściskał serce, gdy widziałem, że z tego Polaka-katolika nic nie zostało. Resztę drogi przebyliśmy po większej części w ulewnym deszczu i przed godziną 7 wieczorem stanęliśmy w Rio Vermelho. Polacy tamtejsi spodziewali się nas w tych dniach. To też zbiegła się ich wkrótce gromadka i witali nas serdecznie. Dziatek gromadka w szkole także nas powitała. — Polaków jest tu około 130 rodzin, stanowiąc nieco większe ognisko w samem Rio Vermelho, a reszta są rozsiani po różnych „liniach“. Te kolonie są co do powstania współczesne koloniom Parany, z przed mniej więcej dwudziestu lat. Ta kolonia leży jakby na pograniczu tych dwóch połów stanu, o których mówiłem wyżej. Samo centrum kolonii ma klimat bardziej umiarkowany, w którym się jeszcze nie udają rośliny, właściwe strefie gorącej, jak kawa, bawełna etc., ale druga połowa t. zw. linii Humbold, ciągnącej się na południowy wschód, ma już klimat gorętszy, w którym obficie rosną ananasy, kawa, trzcina cukrowa i t. p.

Pod względem kościelnym, jak mówiłem, należeli tutejsi Polacy do S. Bento, ale już od dłuższego czasu, z powodów, o jakich wspomniałem, nie mają z niem prawie żadnego związku. Kościółek prawie tak stary jak sama kolonia, jest może jeszcze uboższy jak stajenka betleemska, a chyli się do upadku. Pod nowy kościółek murowany założyli już fundamenta. Mieszkanie dla księdza dość przyzwoite, jest jeszcze zastawione rzeczami ks. Wyszyńskiego. Kapłan ten, nieco marzyciel, postanowił tam utworzyć niejako nowy osobny zakon żeński dla szkół tamtejszych. Kilka osób, nauczycielek z Europy, wstąpiło do tego zakonu, ale obecnie została tam już tylko jedna „Siostra Helena"; prowadzi szkołę; Dzień następny to niedziela. Ludzie więc bardzo licznie garną się do kościółka, aby korzystać z naszej obecności. Kolędy śpiewają, aż zdaje się, że spróchniałe ściany kościółka się zawalą, spowiadają się licznie i z chciwością słuchają słowa Bożego, jakie im przed sumą wygłosiłem. Po sumie rozdaję im obrazki na pamiątkę, ks. Chylaszek ich fotografuje. Na liczne ich nalegania, obiecujemy im, że będą mieli częściej księdza, z tego wszystkiego radości wiele.

Po południu zbierają się seniores kolonii w szkole i zapraszają nas na naradę. Pierwsza rzecz, chcą zapewnienia, że dostaną księdza Misyonarza; potem radzimy nad tem, jakby się energiczniej wziąć do dalszej budowy nowego kościółka. Przy tej sposobności wypowiadają swe dawno tłumione żale i przykrości, tęsknotę za polskim kapłanem, pragnienie, aby mieć zabezpieczoną opiekę i duchowną i narodową. Dodawaliśmy im otuchy i krzepili na duchu, jak nas było stać, ale przedewszystkiem staraliśmy się w nich wzmocnić zaufanie do ks. Biskupa, ducha posłuszeństwa i uległości. — Potem układamy jeszcze z nimi plan naszej dalszej podróży. Jednozgodnie twierdzą, że nie będzie można dalej jechać do Massuranduby wozem, bo to przez góry i przez wertepy, tem gorsze obecnie, że tam miejscami rozkopy, skały i błota, zwiększone wskutek robót nad nowym torem kolejowym,

Stanęło na tem, że pod przewodnictwem kilku z nich puścimy się jutro konno w dalszą drogę.

Później zeszli się jeszcze na plebanii do nas i do późna w noc trzeba było z nimi radzić. Na następny dzień w poniedziałek dużo jeszcze ludzi w kościółku. Wskutek tego jak i wskutek powtarzających się ulewnych deszczów opuszczamy dopiero koło południa Rio Vermelho. Trzech kolonistów, na ich czele przewodził doświadczony Serafin, wzięli nas w swą opiekę i puściliśmy się w drogę — na dzielnych rumakach, które dzielnie biły kopytami po błocie; nic więc dziwnego, że wyżej pasa byliśmy wkrótce zabłoceni całkiem. Całą podróż tego dnia nader uciążliwą odbyliśmy w deszczu i straszliwem błocie, to znów po stokach coraz to piękniej rozciągających się wzgórz. Ks. Kominek nie jechał już z nami, został w Rio Vermelho, aby tam jeszcze popracować, a potem wrócić do Luceny.

„Na 16 kilometrze", u kolonisty Cichowicza, pochodzącego od Dębowca z Galicyi, czekają na nas z obiadem, dano bowiem naprzód znać, że tamtędy przejeżdżać będziemy. Dopiero więc 16 km. drogi, godzina była druga, a byliśmy zmoczeni, spoceni, zbłoceni i zmęczeni, że, zdawało się, już tej drogi powinno być dosyć na dziś. To też z wdzięcznością przyjęliśmy zaproszenie na obiad. Jedna po drugiej salaterka stawała przed nami, to z rosołem, to z ryżem, to z kurami, ale mnie przedewszystkiem ucieszyła salaterka chłodnego mleka. Specyał to rzadki w Brazylii! Pokrzepiwszy się więc siedliśmy o 3 znowu na konie i znów w deszczu dalszą odbyliśmy drogę. Jechaliśmy już w gorętszej strefie, to też był człowiek ustawicznie jak w gorącej łaźni, w której deszczyk jak tusz ciągle kropił. Niedługo dojeżdżamy do kolonisty Wernera, który zabrał nam z Rio Vermelho nasze walizki; teraz trzeba było je na konie pozawieszać w dalszą drogę. — Częstuje poczciwiec znowu, jak może, boć rad polskim księżom w swoim domu. Tu szczególniej uderzyło mnie jedno złe, które dręczy naszych kolonistów w tym Stanie. Dzieci wszystkie, a nawet córka dorosła, śmiertelnie blade, jakby cierpiały na anemią w najwyższym stopniu. Spotyka

się to u wszystkich prawie dzieci i młodzieży w tej gorętszej części Cathariny. Przyczyną tego t. zw. brazylijska choroba. Powoduje ją podobno robaczek ledwie dostrzegalny, zw. anchylostoma duodenale, który się wpaja w wewnętrzną ścianę dwunastnicy i żyje krwią. Równocześnie powoduje rozkład krwi i niszczy ciałka czerwone. Stąd ta przewaga ciałek białych i blednica. — Nie mogliśmy tu bawić długo, lecz kiedy nasz nowy towarzysz, koń objuczony naszymi bagażami był gotów, puściliśmy się dalej.

Wkrótce znaleźliśmy się w drodze nad brzegiem zakrętu góry. Po prawej stronie przepaść i rwąca rzeka, po lewej ściana góry. W tem, z poza zakrętu góry rozchyla się stado wspaniałych wołów z rozsochatymi rogami, które pędzą naprzeciwko nas. W pierwszej chwili zdawało się nam, że chyba z pomiędzy tego lasu rogów na tym wązkiem przejściu nie wydostaniemy się cało. Przytuliliśmy się jednak rzędem do ściany góry, konie chwała Bogu dały się utrzymać spokojnie i dzięki Bogu mogliśmy podróżować dalej. Już wieczór zapadał, jak wjeżdżaliśmy do schludnego miasteczka Hansa, zwanego także Humbold. Jest to przeważnie niemieckie miasteczko, a położone jakby Zakopane wśród wieńca gór. Zajechaliśmy do dość porządnego hotelu — gdzieśmy się posilić mogli i spocząć nie najgorzej na dość porządnych łóżkach. Ubranie przez noc na pół przeschłe do reszty wysuszyło się na nas w dniu następnym, w którym mieliśmy straszny upał.

O godzinie 6 rano puszczamy się w dalszą drogę, a słońce przypieka już nie źle. Mamy do zrobienia 50 km. drogi, aby się dostać do Massaranduby. Co znaczy wyczerpanie z sił wśród strasznego upału i co może siła woli, która zresztą dla tego wytrwa, bo rozum jej mówi, że nie ma innej rady tylko wytrwać i do celu się dostać, tego doświadczyłem wtedy, jak może nigdy w tej mierze. Już było po południu, kiedy za rzeką Itapocusinho napotkaliśmy wendę (dom zajezdny), w której gospodarzem Doubrawka, morawczyk z Berna, poczciwy katolik. Przyjął nas serdecznie, ofiarował osobny pokoik, aby spocząć i pokrzepić się nieco. Za chwilę nad-

jechał tam Franciszek Radwański, kolonista z Massaranduby, który też wracał do domu. To najruchliwszy i może najzamożniejszy z tamtejszych kolonistów i przywódca ruchu, w celu zdobycia polskiego księdza dla kolonii. Ucieszył się niezmiernie dowiedziawszy się, że jedziemy do nich. Prędko zaraz zdobył się na podstęp, na którym poznaliśmy się dopiero później. — Powiedział nam, że jemu spieszy się, więc musi prędko jechać do domu, my możemy jeszcze nieco spocząć, bo tylko ze dwie godzinki do Massaranduby. Wskazał drogę, którą jechać, zapowiedział, że nad brzegiem rzeki, którą musimy przebyć, zamówi już czółna i pomknął na swoim szybkim mule naprzód. — Nie długo potem, o godz. 2. wspinamy się i my na nasze konie, a przebywszy gęste lasy, wertepy górskie, dostajemy się nad brzeg rzeki, gdzie Itapokua i Itapokusinho zlewają się razem w jedną wielką bystrą rzekę. Siadamy do łodzi i przeprawiamy się szczęśliwie na drugi brzeg, za nami płyną nasze konie. Minęły potem 2 godziny, minęło i więcej czasu, a Massaranduby ani śladu, my zaś mdlejemy z gorąca i wyczerpania. Już i nasz przewodnik, wćwiczony w takich jazdach Serafin, zszedł z konia, rzucił się w cieniu drzewa i powiedział, że nie może dalej. Odpoczęliśmy także nieco. Ale straszna chmura się pokazała, zimny gwałtowny wiatr powiał ze wściekłością, wysokie palmy i wspaniałe piniory poczęły się szamotać, zginać, aż ku ziemi, nie było rady, tylko siąść na koń i pędzić pod chmurę, aby prędzej się z pod niej wydostać. Nie długo lunął gwałtowny deszcz i przemoczył nas zupełnie. Gdy ustał i myśmy się wraz z końmi z deszczu nieco otrzęśli, lunęła nawała druga. Jedziemy więc całkiem już zrezygnowani, że może się i nie dostaniemy już do tej nieszczęsnej Massaranduby, gdy wtem ujechawszy kawałek drogą, gdzie już wozy się zapuszczają, widzimy Radwańskiego jak wozem w czwórkę zaprzężonym z kilkoma kolonistami pędzi naprzeciw nas. Wytłumaczył, że przecie nie wypadałoby, abyśmy wjeżdżali do nich zmordowani konno, nie powitani przedtem przez przedstawicieli kolonii. Dla tego musiał nas wyprze-

dzić, dać znać i po nas wyjechać. Przywitani więc przez nich serdecznie, przesiedliśmy się na wóz, my księża wraz z wyczerpanym ze zmęczenia naszym przewodnikiem Serafinem, i mimo, że Radwański koni nie żałował, ale jechał tak, iż zdawało się, że kości skołatane nam roztrzęsie, jechaliśmy jeszcze w ulewnym deszczu z godzinę i o 8 wieczorem stanęliśmy w Massarandubie, przed wspaniałym, murowanym jego futorem. — Ten dawny szewc z miasta Łodzi, który przybywszy tu z pierwszymi polskimi emigrantami dorobił się do dziś tak, że ma 8 szakrów (około 400 mórg) ziemi w znacznej części uprawionej, na pastwiskach stado ładnego bydła i koni, bogaty chów wieprzów, których 50 sztuk w ubiegłym roku zabitych przyniosło mu 3000 milr. (4500 K). Zbudował sobie ładny obszerny dom, w którym jakiś czas i szkołę utrzymywał. Zewsząd u niego wygląda dostatek. Należy do najzapaleńszych działaczy, pragnących sprowadzić tu polskich księży, polskich nauczycieli etc. Z radością więc otworzył przed nami drzwi swojego dostatniego domu. — Wkrótce żona zastawiła sowitą kolacyę, po której mimo iż spocząć się pragnęło, długo było trzeba jeszcze na ganku gwarzyć z rozmaitymi przedstawicielami kolonii, którzy się zeszli, dowiedziawszy się o naszem przybyciu.

Na drugi dzień z rana ludzie podawali sobie wiadomość coraz dalej, iż przyjechali polscy księża, schodzono się więc do kaplicy, a my tymczasem rozejrzeliśmy się nieco po kolonii, o ile to było możliwe, gdy tak rozrzucona i obszerna kolonia kryje się po liniach wijących się między pasmami wzgórz.— System tej kolonnii podobny jest do kolonii polskich najdawniejszych w Paranie, jak Abranches i Orleans, t. j. składa się właściwie z kilku osobnych kolonii łączących się ze sobą, które zwykle obejmuje się jedną wspólną nazwą, zapożyczoną od jednej z nich. Tak jest i tutaj. Massaranduba łączy się z linią zwaną Guarany-mirim, dalej łączą się Miguel, Praça de Norte, 13 de Maio, Konstantyna.

Najwięcej jest Polaków na linii Massaranduba, a potem na Guarany, na innych zaś jest tylko po kilka familii. Wszyst-

kie te kolonie razem, mają mieć około 260 familii. Ponieważ, jak wspomniałem, najwięcej Polaków jest na Massarandubie, stąd zwykle w mowie potocznej, wszystkich Polaków tamtych stron po tych różnych liniach rozproszonych, zalicza się do Massaranduby. — W początkach prawie zaraz, zdaje się przed 17 laty, wybudowali sobie Polacy z wielkim trudem kaplicę na wysokiem wzgórzu z pruskiego muru, gdzie gromadzili się na nabożeństwo, a w dni powszednie zgromadzały się tamże na szkolną naukę dzieci. OO. Franciszkanie z Blumenau przyjeżdżali tu od czasu do czasa z nabożeństwem. Po jakimś czasie ogłosili Ojcowie tę kaplicę, niewiadomo na pewno, z jakiego powodu, za wyklętą, w której nie wolno nabożeństwa odprawiać i kazali kolonistom wybudować sobie kaplicę na linii Guarany, mało jeszcze wówczas skolonizowanej. Posądzali ich niektórzy Polacy, że dążyli OO. Franciszkanie do tego, aby Polacy wysprzedali obrobione już kolonie w Massarandubie Niemcom, a wynieśli się za kaplicą, na grunta niewykarczowane na Guarany. Trudno osądzać intencye tych Ojców, nie podobna też wierzyć w takie ich zamiary. Prawda, że wielu Polaków znęconych wyższą ceną, jaką im ofiarowano, wysprzedali Niemcom, i to najczęściej protestantom swoje kolonie, które w pocie czoła wykarczowali i uprawili, a przenieśli się na Guarany, gdzie otrzymali kolonie za nizką cenę, ale gdzie znów na nowo zaczynać musieli. Może niektórych z nich skłoniła do tego blizkość nowego kościółka, wystawionego także z pruskiego muru, innych może znęciło to, iż za swą kolonią dostali n. p. 2000 milrejsów, a nową kupili za 600, albo że za swoją, nabyli 2 lub 3. W każdym razie była to pożałowania godna lekkomyślność Polaków, którą niestety skonstatowałem jeszcze nieraz. Widziałem to samo jeszcze i w Rio Grande do Sul, że Polak karczował, pot obficie lał przy wyrąbywaniu lasów, a potem na grunt ładny puścił Niemca, a on znów poszedł w lasy, jakby już przejął się tem, że jemu zawsze tylko być paryasem a Niemcowi panem. Otóż obecnie Polacy gromadzą się w kaplicy na Guarany, a kaplica

biedna na wzgórzu w Massarandubie, która tyle kosztowała trudów i potu, opustoszała, chyli się ku upadkowi. — Szkoły mają tu Polacy obecnie dwie, w sąsiedztwie jednej i drugiej kaplicy, które funkcyonują w miarę jak jest nauczyciel. Przy szkole na Guarany uczy już od dość dawna p. Kasprowicz, a w samej Massarandubie, gdzie od dawna nauczyciela nie było, zaczął świeżo tę godność sprawować p. Władysław Krzesiński.

O tem wszystkiem dowiedzieliśmy się zaraz w pierwszych chwilach naszego pobytu w Massarandubie i gdyśmy rano rozglądali się po kolonii. — Tymczasem do kaplicy zebrało się nieco ludu, więc zaczęliśmy mszę św., poczem przemówiłem do nich zachęcając ich przedewszystkiem do jedności między sobą, do szacunku dla kapłanów jakiejkolwiek narodowości, do uległości dla ks. Biskupa i do tego, aby w swych staraniach o kapłana polskiego nie przekraczali miary spokoju i cierpliwości. Do spowiedzi św. przystąpiło nie wielu, gdyż nie spodziewali się tej sposobności. Na drugi dzień zapowiedzieliśmy nabożeństwo rychlej, gdyż chcieliśmy wcześnie wyjechać w dalszą podróż. Zebrało się ludzi dużo; już jakoś i przylgnęliśmy do siebie, oni ośmielili się do nas, nie łatwo więc było się od nich wydostać. Po mszy św. i kazaniu, które im znów powiedziałem, witała nas dziatwa w szkółce na Massarandubie, trzeba było i gościnę przyjąć, potem zrobić im uciechę fotografowania ich na górze pod ich starym kościółkiem, potem jeszcze z nimi pogwarzyć i zrobić im jakąś nadzieję, że zapewne będą mieli księży polskich, co wszystko przeciągnęło się aż do 10 godziny przed południem, kiedy już słońce paliło dotkliwie. P. Radwański zajechał czwórką swych siwych koników. zaprzężonych do woza okrytego dachem płóciennym, jak u nas miewają górale, i ruszyliśmy w dalszą drogę, żegnani przez biednych zebranych Polaków serdecznie. Celem naszej podróży w tym dniu było miasteczko Blumenau, przeszło 50 km. drogi na południe. Cały czas jedziemy linią Massaranduba, na której z razu częściej, a później coraz rzadziej

spotykamy ładnie pobudowane domy i gospodarstwa kolonistów. Wszystko to Niemcy; polskie zabudowania bardzo rzadkie. Zaledwieśmy ujechali 3 godziny, trzeba było spocząć, bo zdawało się, że ani my, ani konie nie wytrwają dalej w tym upale. Przystanęliśmy przed kolonistą Neumanem, Niemcem z Morawii, katolikiem, który upewniwszy się najpierw, że my nie ci księża z Blumenau, ale księża polscy, zaprosił nas do swego domu bardzo gościnnie; a żona zakrzątała się i prędko zastawiła nam wcale dostatni obiad. Na wstępie zaraz mówi nam Neumann, że tu u niego mieszka Polak. Wkrótce też zjawił się bardzo sympatyczny 60-letni, posiwiały mężczyzna; witając się z nami wymienił swe nazwisko Siczyński i bardzo zażenowany mówi, że on Polak, ale po polsku mówić mu trudno. Powoli rozgadaliśmy się, przeważnie po niemiecku, bo rzeczywiście trudno mu było po polsku, a to go bardzo zawstydzało. Dowiedzieliśmy się od niego, że pochodzi z gubernii Suwałkowskiej, z bardzo dobrej rodziny, że jako 20-letni młodzieniec został w r. 1869 skazany na Sybir, za szerzenie polskich książek, uciekł więc, w Poznaniu się nauczył stolarstwa i po rozmaitej tułaczce znalazł się przed 20-tu laty w S. Catharina i jako dobry stolarz miał doskonały zarobek w fabryce niemieckiej; teraz zaś osiadł tu na uboczu i spokojnie stolarkę uprawia. Pokazywał nam kilka książek polskich, które, jak mówił ze łzami, stanowią jego najdroższą pociechę w tym osamotnieniu. Była tam książeczka polska do nabożeństwa, którą otrzymał od siostry swej na drogę, był Kordyan, Balladyna, Przedświt i niektóre rzeczy z biblioteki Mrówki. Rozmawialiśmy z nim wiele o kraju rodzinnym, a poczciwy Niemiec Neumann rozradowane oczy rzucał ciągle na swego zacnego lokatora i powtarzał: „A co, rad jesteś?“. Potem zobaczyliśmy i ładny ogródek Neumanna i jego schludne obejście, a że już była godzina 3-cia i żar słońca nieco znośniejszy, siedliśmy na wóz w dalszą drogę. Ze łzami w oczach żegnał nas Siczyński, a potem długo stał na drodze i tęskno patrzył za nami, dopókiśmy nie zniknęli na zakręcie. — Nie

wspomnieliśmy oczywista w rozmowie temu biednemu tułaczowi, że jego nazwisko, które on nosi stało się u nas synonimem najstraszniejszej zbrodni i krzywdy narodowej. Nie wie on biedny nic, co się w kraju dzieje, a jednak ciągle jeszcze ten kraj rodzinny kocha. — Niestety w podróży tej wielu spotkałem Polaków, co giną dla narodu, ale co gorsza, giną i dla Kościoła. Gdy się znajdą między obcymi, odosobnieni, nie mając polskiego kapłana, giną. Gdy nawet jest kapłan, ale obcy, zamiast ich pociągać, najczęściej ich odpycha. Pod wpływem smutnych oczu Siczyńskiego, które utkwił w nas, gdyśmy znikali na zakręcie drogi wiodącej ku niemieckiemu Blumenau, opadły mnie te bolesne refleksye i nie mogłem się im opędzić. Owszem, zaledwieśmy stanęli w Blumenau, czarny, drapieżny orzeł pruski wpoił swe szpony w mój mózg i serce i z dziką lubością wygrzebywał ze wspomnień to wszystko, co on zabrał i narodowi i Kościołowi naszemu.

Stanęliśmy w Blumenau już o zmierzchu, bo o godz. $7^1/_2$ wieczór. Wjechało się, jakby do jakiegoś miasteczka w Saksonii lub Brandenburgii. Ładne domy i kamieniczki, dostatek wygląda zewsząd, porządek niemiecki. Zajechaliśmy do St. Josephs-Vereins-Haus, położonego vis-à-vis wspaniałego klasztoru OO. Franciszkanów. Jest to ładny, wygodny dom dla stowarzyszeń i kolonistów niemieckich, którzy się tu gromadzą w niedziele i święta. W ładnej sali zebrań, z którą połączona jest scena, widnieje na suficie ponad wszystko ogromny orzeł pruski, którego szpony większe jak „lumen de coelo“, choćby i z palmą razem, na herbie Leona XIII, który także tam wymalowany, a skrzydła rozpięte śmielej i zarysowane mocniej, jak brazylijska chorągiew na trzecim herbie, który także tam się znajduje.

Poszliśmy zaraz przedstawić się OO. Franciszkanom i poprosić o miejsce przy ołtarzu nazajutrz. Rychło rano odprawiliśmy msze św. w kościele klasztornym. Zaraz w sąsiedztwie klasztoru jest kościół „parafialny“, także OO. Franciszkanów, gdzie odprawiają nabożeństwa w niedziele i święta.

Po śniadaniu O. Przeor pokazał nam cały klasztor i zakłady. Podziwialiśmy ich różnolite warsztaty, w których maszyny pędzone parą, ich Kolegium, rodzaj naszego Małego Seminaryum, w którem jest 3 chłopców z polskich rodzin, jeden z Luceny, nieuczących się jednak nic po polsku, i szkołę ludową, w której uczą zakonnice Franciszkanki i OO. Franciszkanie. Gdym to wszystko podziwiał, zwracałem się myślą do tego orła na suficie sali, któregom zobaczył wczoraj, i mówiłem sobie, że te jego skrzydła nie tylko tłuką, ale także i osłaniać i ogrzewać umieją skutecznie. Zacząłem się robić więc wyrozumialszym dla tych, którzy się pod te skrzydła tulą. Wielka tam bowiem ciągnie pokusa tego, komu do duszy nie wbiły się jego szpony.

Wróciliśmy do zajazdu zupełnie bez sił, a skwar słoneczny odbierał ostatek odwagi, by siadać na wóz i puszczać się w dalszą podróż. Decydowaliśmy się już porzucić naszego Radwańskiego z jego wozem, co potłukł nam boki, a chcieliśmy statkiem na rzece Itajahy-assu dojechać do morza do portu Itajahy, a stamtąd większym okrętem puścić się dalej, do Florianopolis. Dowiedziawszy się jednak, że w Itajahy mielibyśmy dopiero w poniedziałek wieczór okręt, a więc, że 3 dni (od piątku) trzebaby stracić na oczekiwanie, poleciliśmy się Bogu i doczekawszy się wreszcie końca kucia koni, puściliśmy się o godz. 9-tej dalej. — Podziwialiśmy centrum miasta, przypatrywaliśmy się pomnikowi Dra Blumenau, który w r. 1850 to miasto założył, i puściliśmy się ładną drogą ku Brusque. W południe musieliśmy się zatrzymać w miasteczku Gaspar, aby przeczekać upał straszny, który zdaje się o omdlenie przyprawił wszystkich, bo miasteczko wyglądało jak wymarłe. Nawet kolibry, których nowy gatunek tu podziwiałem (większe nieco, strojne w śliczne szmaragdy), zaledwie o kilka kroków podleciały, aby się ukryć w nowym gąszczu, gdy się je spłoszyło z pod chłodzącej gałązki. — Spożywszy obiad w „Gasthaus“, spoczęliśmy nad brzegiem rzeki w cieniu aż do $2^1/_2$. Trzeba było ruszać dalej, bo droga jeszcze daleka i ciężka. Gdyśmy

się wlekli przez ulice (nie podobna mówić o szybkiej jeździe w tym upale), czasem odchylały się okiennice w oknach domów i pokazywały się za szybą zdziwione niemieckie oczy, które chciały zobaczyć tych dziwnych ludzi, co o tej porze nie siedzą pod cieniem dachu, ale zachciewa się im podróży. Gdyśmy za miasteczkiem oglądali się za siebie, zdawało się nam, że i duże wieże, co sterczą nad miastem, jedna protestancka, druga katolicka, także już z upału omdlały i chylą się na miasto. Było to złudzenie optyczne, wskutek falujących miejscami gorętszych jeszcze prądów powietrza. — Skończyła się wkrótce droga lepsza, a ciężką drogą przez góry wlec się było trzeba uciążliwie. Grunta liche, nędzne chatki, które się czasem spotyka, to całe urozmaicenie tej ciężkiej jazdy. O godz. 8 wieczór przyjeżdżamy do Brusque, miasteczka dorównującego prawie miastu Blumenau. — Mieszkańcy, prawie wyłącznie Niemcy w połowie katolicy, nad którymi opiekę duchowną mają księża Zgromadzenia Serca P. Jezusa, o których już wspomniałem przy S. Bento. Polaków jest w mieście niewielu, a w okolicy na koloniach kilkunastu. Obydwa kościoły, katolicki i protestancki, są ładne, całe miasto regularnie i pięknie zbudowane. Zajechaliśmy do hotelu poczciwego niemca Schäfera, katolika, którego ojciec przybył tu z Austryi z Baden. Hotel porządny i czysty, to też spoczęliśmy dobrze. Już jednak o 5 rano jesteśmy na wozie i spieszymy dalej. Mijamy zaraz niedaleko za miastem ładną fabrykę tkacką, dokąd już wiele robotnic spieszy, i wkrótce znów ciężką drogą wśród uciążliwych gór, nad przepaścistymi brzegami rzeki Tijucas, spinamy się wśród coraz straszniejszego upału. Dostajemy się wreszcie na dobrą drogę, wiodącą od Nova Trento, ale południowy upał nie pozwala jechać dalej. Stanęliśmy w pobliżu nędznej wendy (karczemka), gdzie tylko nieco ciepłej wody (gazoza) dostajemy — i puściwszy konie na trawę, spoczęliśmy pod krzewami kawy, krzepiąc się nieco zdobytym z trudem kawonem i trzciną cukrową; prawda znalazł się i kawałek chleba w kieszeni. O godz. 3, kiedy było już nieco chłodniej

puściliśmy się dalej, spadła później gwałtowna burza, którą ostatecznie powitaliśmy z radością, bo nieco ochłodziła powietrze, i około godz. 7 stanęliśmy w Tijucas. Jest to typowe miasteczko brazylijskie portowe, nad ujściem do morza rzeki tejże nazwy. Długa bardzo prawie jedyna ulica, w której się jedzie prawie po osie w piasku, zabudowana po obu stronach małymi domkami, prowadzi do centrum miasta, w którem kilka większych budynków, a między nimi hotel Estrella, do którego zajeżdżamy. Trzeba pamiętać, że to hotel brazylijski, i to w małem miasteczku, a więc rozumie się samo przez się, że niesłychanie brudny; ale niewiadomo przy tem, czy większy w nim brud, czy ponad brud jeszcze większa umiejętność wystawiania wysokich rachunków. Naprzeciwko mej brudnej izdebki mieszkał proboszcz miejscowy, ktory, jak to bardzo często jest w Brazyli, nie mając własnego domu plebańskiego, zamieszkuje w hotelu. Zamówiliśmy też u niego na jutro rychło rano msze św. w kościele. Przybył wkrótce do nas jedyny polak w całem miasteczku, piekarz Kruszyński, który jako sąsiad hotelu zaraz się dowiedział, że zajechali polscy księża. Żoną jego zbrazylianizowana niemka, dzieci zaś całkiem brazylijskie. Ojciec jego mieszka na kolonii w Pinhoral, o dzień drogi ku zachodowi od Tijucas w górach. — Na drugi dzień, t. j. w niedzielę rano o 5 w kościele nad samym brzegiem morza odprawiliśmy msze św., a potem spieszymy do hotelu, by ruszyć w dalszą drogę, bo upał nieznośny już tak rano zapowiadał, że ciężka będzie jazda. Chwała Bogu droga przeważnie ładna, a więc po przeprawieniu się promem przez rzekę Tijucas, mogliśmy dosyć pospieszyć. W południe, w miasteczku Biguassu, lichszem jeszcze od Tijucas, zostawiliśmy nasz wóz i konie, a nająwszy fiakra, jechaliśmy ostatnie 15 km. wcale wygodnie. Około 3. stajemy nad brzegiem morza u przejazdu do Florianopolis. Ta stolica stanu leży na niewielkiej wyspie noszącej nazwę S. Catharina, oddzielonej od lądu stałego nie wielkim pasem morza. Miasteczko nadbrzeżne na lądzie stałym, S. José jest jakby przedmie-

ściem Florianopolis, wznoszącego się ślicznie na wyniosłym małym półwyspie przyczepionym jakby nos do północno zachodniej części wyspy. Co pół godziny małe statki i łodzie kursują między tem przedmieściem a stolicą. — Zajechaliśmy więc wozem do przystani, aby wsiąść na łódź parową, która nas do stolicy miała przewieźć, a na myśl, że skończyła się już ta nasza podróż straszna, zapomnieliśmy o naszem zupełnem wyczerpaniu i nowe w nas wstąpiły siły.

Śliczny zresztą widok stolicy, zbudowanej pięknie na wyspie, który pochłonął nas całkiem, gdyśmy na łódź czekali, jakby nam obiecywał wynagrodzenie wszystkich naszych trudów, nęcił nas tamże mile ku sobie. Rzeczywiście bardzo pięknie przedstawia się to miasto. Na pierwszy zaraz widok jego przyszło mi na myśl, iż słusznie zmieniono jego nazwę z Desterro na Florianopolis. Desterro znaczy tyle co kąt zapadły, postanowili więc Brazylianie naprawić pięknemu miastu krzywdę, jaką mu ta nazwa wyrządzała, i nazwali je od imienia sławnego wiceprezydenta Brazylii, co stłumił powstanie r. 1893 (Floriano Peichoto), Florianopolis. Miasto wzrasta szybko w ostatnich latach; obecnie liczy 40.000 mieszkańców. Dużo ma ładnych domów i pałacyków, kilka większych budowli publicznych. Ładny pałac gubernatora (prezydenta stanu), gustowny pałacyk ks. Biskupa etc. Przyjechawszy tu szczęśliwie łodzią i ulokowawszy się w hotelu porządnym, odetchnęliśmy głęboko. Już zaraz za chwilę zjawił się w hotelu Polak Kowalski, zapraszając nas, byśmy wieczór przyszli do lokalu ich Towarzystwa, aby się nami Polacy ucieszyli. — Oczywista, żeśmy to obiecali. — Przedewszystkiem jednak udaliśmy się do ks. Biskupa. Jeden z polskich doróżkarzy (jest ich dwóch), co stoją stale przed hotelem, Stefan Bieniaszewski, pochodzący z Milna z pod Załoziec, podjechał uradowany swym ładnym powozikiem i zawiózł nas do ks. Biskupa. Przyjmuje nas zaraz nader uprzejmie. W długiej rozmowie z nim, nie trudno było odczuć jego zacną duszę i przekonać się o jego nadzwyczajnej sprawiedliwości i życzliwości dla Polaków. Opo-

wiedział mi wszystkie zabiegi, jakie czynił by pozyskać dla nich polskiego księdza, które spełzły na niczem i zakończył: „Ja przed Bogiem nie będę już za nich odpowiadał, bom zrobił, com mógł, aby im dać polskiego kapłana. Teraz oddaję ich dusze księdzu i ksiądz będzie za nich odpowiadał, bo może im pomódz i księży im przysłać“. Nie było rady, musiałem przyrzec, że Misyonarzy poślę. — Na drugi dzień mieliśmy do reszty sprawę ułożyć. Zapadał już wieczór, więc udaliśmy się do Polaków. Czekał już na nas drugi doróżkarz, zacny Michał Opuszka, pochodzący z Kaliskiego, aby nas tam podwieźć. Lokal Towarzystwa polskiego jest w domu Stanisława Szpugańca, który ma wendę (sklep) Jest to rusin z Pieniak od Założiec, ale czuje się Polakiem, żona jego Polka. Zbiera się Polaków znaczna gromadka — i prowadziliśmy żywą rozmowę. My się dopytujemy o ich stosunki, oni nas o kraj i pytają o rady. Jest ich tu 25 rodzin. — Dwaj są doróżkarze, kilku murarzy, kilku pracuje we fabryce gwoździ i kilku ma wendy. Wszystkim powodzi się dobrze pod względem materyalnym, źle pod względem kościoła i szkoły. Bez polskiego księdza zobojętniał im kościół; co do szkoły polskiej dla swych dzieci, robili wysiłki, trzymali jakiś czas „nauczyciela“, którym był student z Krakowa G., ale odprawić go musieli. — Na drugi dzień rano dążymy do katedry na msze św. Bardzo uprzejmie nas tam wita ks. kanonik Topp przybyły tu przed laty z Würzburga, pierwszy właściwie ksiądz, który się stał fundamentem i wskrzesicielem życia katolickiego w S. Catharina. Dzisiaj w jego osobie mieści się proboszcz katedry, cała kapituła, cały konsystorz, kanclerz i wikary gener. ks. Biskupa. Poczciwiec służył mi nawet do mszy św., dopóki go nie wyręczył później ministrant. Po kawie u niego w mieszkaniu spędziliśmy z godzinkę na bardzo miłej i pożytecznej pogadance o tamtejszych stosunkach. — Dodam tutaj, że oprócz księży przy dwóch kościołach parafialnych, są tu OO. Jezuici, mający kolegium, oczywista niemcy.

W podróży mej do Brazylii poznałem się na okręcie

z p. Hoepke, niemcem protestantem, bardzo miłym starcem, który przed laty przeszło 40 pojechał do S. Catharina tylko z 10 palcami u ręki, zaczął od nędznej kolonii, a dziś jest milionerem, najbogatszym en gros kupcem na S. Catharinę i Paranę. Dwa czy trzy jego statki kursują po wodach Brazylii, we Florianopolis ma duże doki i magazyny portowe, ogromną fabrykę gwoździ i wielki dom eksportowy. Zięć jego ma w Bielsku wielką fabrykę sukna. Otóż rozłączając się



Dotychczasowy kościółek w Rio Vermelho.

z nim w końcu podróży, musiałem mu przyrzec, że go odwiedzę, jeśli się znajdę we Florianopolis. Trzeba było obietnicy dotrzymać, poszliśmy więc do niego z wizytą. Serdecznie witał, gościł obiadem, a potem zabrawszy do powozu obwiózł, by pokazać między innymi wspaniały klub niemiecki i swoje zakłady. We fabryce gwoździ spotkałem przy pracy kilku Polaków, których poznałem wczoraj. Podziwiałem tego zacnego starca, który na okręcie wraz z żoną ujął mnie swą serdeczną prostotą, jak on dziś mimo swych milionów bez pracy żyć nie może, codziennie regularnie pracuje w swem biurze, we fabryce interesuje się wszystkiem. Polacy bardzo

go chwalili jako życzliwego i chętnie przychodzącego z pomocą chlebodawcę. Po południu znów konferencya u ks. Biskupa, w której uczestniczy ks. Topp, a pożegnawszy zacnego ks. Biskupa, który nas bardzo chwycił za serce, odwiedziliśmy jeszcze dom poczciwego Opuszki, który nas woził, a potem w katedrze było polskie nabożeństwo. Umówiliśmy się z Polakami, że będzie pod wieczór dla nich nabożeństwo, a ks. Biskup bardzo się z tego projektu ucieszył. Ks. kan. Topp jeszcze przed nabożeństwem kazał zapalić lampki elektryczne, w które przystrojone są linie fasady kościoła, w katedrze płonęły elektryczne pająki, wogóle wielka parada. Nieszczęśliwie się złożyło, że krótko przedtem spadła wielka ulewa i niektórym Polakom, mieszkającym w dalszych stronach miasta na wzgórzach, niepodobna było zejść po ślizkich drogach. Mimo to zebrała się gromadka, wystawiłem Najświętszy Sakrament, a polskie „Święty Boże" płynęło serdecznie z polskich serc, zgłodniałych już od dawna polskich suplikacyi. Przemówiłem potem do nich, a kiedym, pobłogosławiwszy im, schował Najświętszy Sakrament, długo jeszcze rozlegało się pod sklepieniami niemiecko-brazylijskiej świątyni „Serdeczna Matko", a ściany kościoła z lubością zdawały sobie podawać echa tej naszej drogiej pieśni, którą one, zdaje się, po raz pierszy słyszały. — Potem wyspowiadało się kilku. Wieczór znów w gronie swoich w domu dawnego prezesa Towarzystwa p. Wojc. Szymańskiego trzeba było przepędzić, aby dalej im opowiadać i radzić. Nazajutrz, dnia 24 stycznia we wtorek, rychło rano na mszy św. wykomunikowałem tych, co się wczoraj spowiadali — i spieszyliśmy się, aby opuścić Florianopolis i puścić się w dalszą, jeszcze cięższą drogę. Przedstawiciele kolonii p. Szpuganiec i p. Opuszka odświętnie ubrani nie opuścili nas aż do ostatniej chwili. — Specyalnie wynajętą łodzią parową odwieźli nas na okręt Itapuca, którym mieliśmy odjechać, i dopiero kiedy okręt po godzinie 10 miał ruszać, pożegnali nas i jeszcze z łodzi serdecznie i tęsknie za nami spoglądali.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy dom w Brazylii.

Podajemy poniżej list ks. Superyora Górala do ks. Wizytatora, opisujący początki nowej placówki Zgromadzenia na ziemi brazylijskiej w stanie S. Catharina.

Guarany-mirim, dnia 20 września 1911.

Co dopiero wróciłem od ks. Biskupa z Florianopolis, z dokumentami i książkami, jako proboszcz nowo utworzonej parafii w okręgu Massaranduby; składałem nawet przysięgę w kaplicy ks. Biskupa w jego ręce, stosownie do rozporządzenia Ojca świętego.

O naszej podróży i obecnych stosunkach, oraz naszych kłopotach, zamierzam po krótce donieść, choć może już o niejednej sprawie wiedzieć będzie ks. Wizytator z listów ks. Chylaszka.

U Konfratrów stanęliśmy dnia 12 sierpnia, w sobotę, w Thomaz-Coelho, gdzie był ks. Chylaszek wraz z ks. Komandrem, gdyż ks. Dejewski niebezpiecznie zachorował; był nawet już zaopatrzony św. Sakramentami. Przeszło tydzień zabawiliśmy w tych trzech domach, a prawie drugi tydzień w Lucenie, skąd nie mogliśmy się wybrać wozem do Rio Vermelho, z powodu ustawicznych deszczów i lichej drogi. Wreszcie, gdy deszcze nieco ustały, przybyliśmy 31 sierpnia do Rio Vermelho. Następnego dnia udał się ks. Chylaszek na koniu z jednym chłopcem do Massaranduby, aby donieść o naszem przybyciu; było to stosowne, bo jak się później pokazało, list, który pisał ks. Chylaszek przed 2 tygodniami do p Radwańskiego, że księża przyjeżdżają, nadszedł wtedy dopiero, gdyż już ks. Chylaszek był w Massarandubie. Rozchodziło się przedewszystkiem o mieszkanie dla nas i o pod-

pisanie przez parafian warunków ugody z księdzem Biskupem.

Ja miałem w Rio Vermelho, po sumie, z ludźmi ogólne zebranie w sprawie budowy kościoła, którego fundamenta założone już od roku podobno leżą i psują się, jako też i cegła. Kościółek niewielki, może być kiedyś w przyszłości za mały, w dodatku nieforemny, prawie kwadratowy, z wielką wieżą, której budowa znaczne pociągnęłaby za sobą koszta. Dlatego uznaliśmy z ks. Chylaszkiem za stosowne, żeby plan zmienić: kosztowną wieżę skasować, gdyż wystarczy sygnaturka większa, tem więcej, że kościół i tak jest na wzgórzu, będzie więc widocznym; na posiedzeniu udało mi się tę zmianę przeprowadzić. Ludzie bardzo sobie życzą, żebyśmy w Rio Vermelho osiedli, są nawet rozgoryczeni, że mają mieszkanie dla księdza, stawiają kościół, a Massaranduba nie ma ani jednego ani drugiego, a przecież tam księża jadą. Chcieli nawet do ks. Biskupa pisać, telegrafować.... Uspokoiłem ich, ze może w przyszłości sprawa ta lepiej się dla nich ułoży. Jednakże jedna kolonia Rio Vermelho, o 130 rodzinach, nie utrzyma dwóch księży, należałoby wtedy parafię powiększyć.

Połączenie Rio Vermelho z Massarandubą jest bardzo złe: trzeba jechać wozem do Hanzy, stąd koleją, a następnie przez rzekę i znów konno lub wozem. Brak najpierw koni; a potem gdzie zostawić konia przed stacyą kolejową? My zaś z Rio Vermelho nie mogliśmy nawet dostać furmanki; zgodził się wreszcie pewien furman za 50 milrejsów do Hanzy,... a to ani połowa drogi, bo 32 km., a cała droga z Rio Vermelho do Massaranduby wynosi 82 km. Wobec tej dalekiej, trudnej, a zarazem kosztownej drogi, możemy zaledwie raz na miesiąc robić ekskursye do Rio Vermelho; tem więcej, że od kościoła w Masarandubie zależą jeszcze 4 inne kaplice, jak o tem niżej wspomnę. Z drugiej zaś strony obecność moja przy budowie kościoła w Rio Vermelho jest potrzebną, bo ludzie, murarze, nie wiedzą, jak mają robić (kilka błędów jest już w założeniu fundamentów).

Uradziliśmy więc z ks. Chylaszkiem, że wyjadę jednego tygodnia na niedzielę, cały tydzień zabawię w Rio Vermelho i wrócę do Massaranduby dopiero po drugiej niedzieli. Tak zapowiedziałem ludziom; ten projekt przedstawiłem i ks. Biskupowi; — podobał mu się i zgodził się na to.

W poniedziałek, 4 września wyjechałem z ks. Zygmuntem z Rio Vermelho do Massaranduby; na nasze spotkanie przybył p. Radwański; przenocowaliśmy u Wernera, należącego jeszcze do Rio Vermelho, a następnego dnia wczas rano, po 4 godzinie wśród słoty zdążaliśmy do Hanzy, aby się na kolej na 7 godz. nie spóźnić. Z Bananal, stacyi kolejowej, mamy jeszcze około 20 km. do Massaranduby. Gdybyśmy umieli konno jeździć, to przepłynąwszy rzekę stanęlibyśmy za kilka godzin na miejscu, gdzie chciano nas uroczyście i owacyjnie przyjąć. Lecz stało się inaczej. Jechaliśmy przez 6 godzin w małem czółenku bez ruchu, nas dwóch i p. Radwański; mieliśmy także bagaże. Zrobiliśmy znacznie większą drogę, przepłynęliśmy dwie wezbrane rzeki, aby się łatwiej dostać do drogi wozowej. Taki plan ułożyli poprzednio Radwański z ks. Chylaszkiem. Tymczasem ludzie, którzy na to miejsce za wczas przybyli, nie mogli się nas doczekać, wozy i banderya wróciła, w przekonaniu, że nie przyjedziemy, bo deszcze dnia poprzedniego i przed południem padało, rzeki wezbrane... Podobno coś pół godziny po ich odjeździe przybywamy zmęczeni do oznaczonego miejsca nad rzeką. Nikogo niema. Mamy jeszcze stąd około 3 km. przez las bagnisty (zwłaszcza po deszczu), który musimy pieszo przebywać, brodząc w błocie po kolana; następnie przy drodze nikogo niema; czekamy, a p. Radwański szukał furmanki. Znalazł jakiegoś poczciwego protestanta, który nas odwiózł do Massaranduby, a stąd już nasi parafianie do wendy Bidzewskiego, gdzie ks. Chylaszek mieszkał i gdzie my także mieliśmy tymczasowo zająć miejsce. Było już późno (po 10 godz.) wieczorem, gdyśmy niespodziewanie nadjechali. Ucieszyli się wszyscy, były nawet ognie sztuczne, tak, że jeszcze wieczorem dowiedzieli się mieszkańcy o naszym przyjeździe. Ostatni

dzień podróży był najgorszym ze wszystkich; my zmęczeni, ubranie zniszczone.

Przed wyjazdem do ks. Biskupa, zwołał ks. Chylaszek w uroczystość Narodzenia N. Maryi P., po nabożeństwie, ogólne zebranie tutejszych parafian, by się zgodzili i podpisali warunki, pod jakimi ks. Biskup im daje księży. Nie chcieli tego uczynić O. Franciszkanowi, który też skwapliwie doniósł ks. Biskupowi, że oni o żadnych polskich księżach słyszeć nie chcą; ks. Biskup był w kłopocie. Nam zaś uczynili to chętnie i z radością, bo O. Franciszkanowi nie ufali.

Cztery punkty zawiera wspomniana ugoda:

1) mają zbudować dla księży mieszkanie na gruncie kościelnym, w Guarany-mirim, przy obecnej kaplicy (to nie jest Massaranduba, tylko należy do jej okręgu);

2) płacić rocznie po 5 milrejsów od rodziny na utrzymanie księży;

3) w razie potrzeby można się płacy sądownie domagać;

4) mają okazywać szacunek i posłuszeństwo władzy dyecezyalnej i jej przedstawicielom.

Ks. Chylaszek podsunął ludziom, żeby ks. Bikupowi napisali podziękowanie za utworzenie parafii i przysłanie księży. W poniedziałek 11 września udałem się z ks. Chylaszkiem okrętem z S. Francisco do Florianopolis, do ks. Biskupa, który się bardzo ucieszył z naszego przybycia, z przyjęcia warunków przez tamtejszych mieszkańców i z podziękowania. Dał mi księgi, informacye; sekretarz sporządził akt erekcyjny parafii, który ludowi w niedzielę wraz z innymi dokumentami odczytam i objaśnię.

Taksa za erekcyę parafi należy się 100 milrejsów, za różne księgi do 150 milrejsów, długi na kasie kościelnej do 280 milrejsów. Takie to mamy początki!... Polacy we Florianopolis zobojętnieli, do spowiedzi się nie garną. Ks. Biskup życzył sobie, żeby w poście przybyć i rekolekcye dla nich urządzić.

Z powrotem udał się ks. Chylaszek do Paranagua okrętem, a ja przez Itajahy do Blumenau, do OO. Franciszkanów,

gdzie im się przedstawiłem i pokazałem akt erekcyjny i dokumenty, jak sobie tego życzył ks. Biskup. Przyjęli mnie bardzo serdecznie. Jeden z nich (P. Vigario) miał mi uroczyście oddać w zarząd parafię, ale zwolniłem go z tej niemiłej dla niego czynności.

Parafia nasza jest obszerną, ma prócz Rio Vermelho, do 50 km. średnicy, i 4 kaplice, mianowicie: 1 Praso de Norte, nowo zbudowaną, a długu na niej 2.200 milr.; 2 na linii 7 stycznia; 3 na linii 13 maja; 4 w Badenzy. Jako



Kaplica w Guarany-mirim.

parafian mamy prócz Polaków, Niemców i Brazylian, kilka rodzin, szkoda, że żaden z nas nie umie po brazylijsku. Niemcy, którzy tu umieją po polsku, z wyjątkiem dwóch czy trzech rodzin, żądali na zgromadzeniu, abym im kazania po niemiecku prawił, jak O. Franciszkanin Ks. Chylaszek w pierwszym zapędzie był zatem, lecz ja oparłem się, przyrzekłem tylko ewangelię po niemiecku odczytać, bo przecież nie będę prawił po niemiecku dla 4—6 osób, których może jeszcze w kaplicy nie być, a tymczasem wszyscy

parafianie mają słuchać? O. Franciszkanin mógł to robić w celach germanizacyjnych... Ks. Chylaszek przyznał mi potem słuszność. W każdym razie byłbym poprosił ks. Wizytatora o decyzyę stanowczą, ale Niemcy się odczytaniem niemieckiej ewangelii zadowolili. Przyrzekłem im również w kościele, że dzieci do spowiedzi i do Komunii św., w języku niemieckim będziemy przygotowywać i słuchać spowiedzi św. po niemiecku i t. p. Za to u Badenzów (wychodźcy z Badenii), gdzie są przeważnie Niemcy, mówić będziemy kazania w ich kaplicy po niemiecku, bo krzywdzić nikogo nie chcemy. W ten sposób przedstawiłem tę sprawę i ks. Biskupowi, który z tego był zadowolony. W niedzielę urządzam znów zgromadzenie parafian po nabożeństwie, dla ułożenia niektórych spraw parafialnych.

Wielką mamy niewygodę i biedę z mieszkaniem. Już to samo, że mieszkamy we wendzie jakoś brzmi dziwnie. Lecz innego wyjścia niema. Chciałem jaką chatę tymczasem wynająć dla nas, lecz jej tu w pobliżu kaplicy niema; a druga bieda byłaby ze stołowaniem się, które (zdaje mi się) parafianie za nas płacić będą, dopóki się nie wprowadzimy do tymczasowego domu. Rozebraliśmy zamkniętą kaplicę w Massarandubie, stawiamy z jej materyałów mieszkanie tymczasowe z desek przy kaplicy w Guarany-mirim. Ks. Chylaszek przypuszczał, że za 2 tygodnie stanie prowizoryczne mieszkanie, a tymczasem będziemy zadowoleni, jeżeli za dwa miesiące się do niego wprowadzimy, bo brak desek, trzeba je dopiero rznąć. Lud chętny, dopomaga; wszyscy są życzliwi i ucieszeni; niema żadnych stronnictw.

Adres do Konfratrów na tym nowym posterunku jest następujący:

Brazil—Est. S. Catharina.

N. N.

Guarany-mirim
cor. Blumenau.

NB. Inne adresy podano w „Rocznikach" z r. 1909, Nr. 1. str. 47, oraz Nr. 4, str. 296.

Wśród Polaków w północno-zachodnich Niemczech.

List ks. Paszyny, datowany z Peine w Brunszwiku d. 12 lipca.

(Ciąg dalszy).

W Peine bawiłem od 7—22 lipca czyli całe dwa tygodnie. Przez cały ten czas doznawałem szczerych objawów życzliwości i sympatyi nie tylko od ks. proboszcza Reinharda i ks. wikarego Sommera, ale także i od ludzi świeckich. Największa część pracy przypadała tutaj na sobotę po poł. i na niedzielę, bo ludność polska przeważnie zatrudniona po fabrykach; to też spowiadałem w sobotę po południu do późnej nocy, a w niedzielę do godz. 3 po poł. Obecnie w Peine nie przyjmują już nowych Polaków do fabryki. Są tu niektórzy już od lat 20, zamieszkali tu z rodzinami i nie myślą wracać do swojej ojczyzny. Było także u mnie na probostwie kilku takich obywateli; przekonałem się, że bardzo licho już władają językiem polskim, ale na myśl, że dzieci ich się wynaradawiają, uczęszczając do szkół niemieckich, łzy stawały im w oczach. Wszystkich Polaków, porozrzucanych po rozmaitych fabrykach, w Peine, Vechelde i folwarkach jak n. p. Rosenthal, Felgte, Schwichelt i t. p., wyspowiadałem w tym czasie 460. W ostatnim dniu mojego pobytu przybyła jeszcze jakaś dziewczynka rodem z Krakowa, zamieszkała w Vechelde do pierwszej Komunii św.

Dnia 20 lipca wyjechałem do Hildesheim, gdzie spotkałem się z ks. Witaszkiem i razem z nim poszliśmy do ks. Biskupa, który nas bardzo serdecznie przyjął, a z rozmowy jego przekonaliśmy się, że dola ludu polskiego bardzo mu leży na sercu. Następnego dnia po południu wróciłem do Peine, a nazajutrz 22 lipca pożegnałem Peine, unosząc ze sobą bardzo miłe wspomnienia, i przez Hildesheim podążyłem na

nowy posterunek do Ringelheim am Harz, gdzie stanąłem tuż przed południem. Do dyspozycyi dał mi ks. proboszcz trzy najpiękniejsze pokoje i traktował mnie z uprzedzającą grzecznością. Kościół bardzo wielki, w stylu romańskim. z ciosu, należał dawniej do P. P. Benedyktynek, potem do O. O. Benedyktynów, a po ich wydaleniu w roku 1802 zamieniono go na kościół parafialny. Klasztor OO. Benedyktynów zamieniono na wspaniały pałac. Do niego przytyka olbrzymi folwark, dawniej własność OO. Benedyktynów. Wszystkie budynki w nim z ciosu, masywne, gdzieniegdzie napisy łacińskie; dziś wszystko w ręku protestanta. Obok folwarku park wspaniały, dawniejszy ogród zakonny. Niedaleko koszary polskie, w których mieszka 20 Polaków z Prus Zachodnich, z Galicyi i Królestwa. Ringelheim, to wieś czysta, schludna, mająca wygląd miasteczka. Katolików jest tutaj około 400. Pracę w kościele zacząłem tegosamego dnia o godz. 5. Mimo upału strasznego, dochodzącego do 50^0 C, było w kościele chłodno.

Zasiadłem do konfesyonału, spowiedź szła raźno, ale jakoś nic nie ubywało, bo wciąż nowe gromady nadchodziły, Mija godzina za godziną, już 9, czuję już zmęczenie, a tu jeszcze daleko do końca. Ks. proboszcz poczciwy starowina obecnością swoją w kościele otuchy mi dodaje; biega po wszystkich kątach, zbiera wszystkie kawałki świec, zapala i przynosi Polakom, żeby im było jasno. Już godzina 11 w nocy, wyspowiadanych 104 za jednym razem, czuję potrzebę wypoczynku. Zamykamy więc kościół i idę na probostwo i myślę sobie, przynajmniej się teraz wyśpię. Ledwom jednak zamknął drzwi, słyszę, że ktoś się dobija; to nowa gromadka Polaków w liczbie 16, przybyłych do spowiedzi, z miejscowości Luter am Baremberge, 3 godziny drogi od Ringelheim. Choć ciężko, trzeba było się wrócić i wyspowiadać ich.

Nazajutrz 23 lipca, niedziela. Spowiedź trwała od 6 rano do pół do dwunastej w południe. Wyspowiadało się 75 Polaków, z folwarków Ringelheim, Alt-Wallmoden, Upen, Luter

am Baremberge i t. d. Po sumie wygłosiłem słowo boże, a po południu o godz. 3 miałem dla nich błogosławieństwo. Dźwięczny i miły śpiew polskich pieśni zachwycał nie tylko księdza proboszcza, ale i innych Niemców, którzy tłumnie gromadzili się w kościele na polskie nabożeństwo; bo też przyznać trzeba, że tu wyjątkowo bardzo pięknie i rzewnie śpiewały polskie dziewczęta. Po błogosławieństwie rozdałem wszystkim Cudowne Medaliki. Po południu wybrałem się na przechadzkę do wioski Alt-Wallmoden, aby odwiedzić Polaków, lecz nie zastałem ich w koszarach, bo wszyscy byli w polu przy żniwie. — Ogólna cyfra wyspowiadanych Polaków w Ringelheim wyniosła 195. Bawiłem tutaj 4 dni (od 22—25 lipca). Wieczorami uczyłem ks. wikarego polskiego języka, ale trudna to była lekcya.

Dnia 25 lipca we wtorek pożegnałem Ringelheim o godzinie pierwszej, wybierając się na trzecią ekskursyę misyjną do Detfurth. Po półgodzinnej jeździe koleją stanąłem na stacyi Gross-Düngen. Stąd po 3 kwandransach pieszej drogi stanąłem w Detfurth. Przed plebanią oczekiwał mnie już ks. proboszcz Krystyan Kanne; przyjął mnie najserdeczniej, jakby najszczerszego swego przyjaciela i w ciągu tych kilku dni okazywał mi na każdym kroku dowody szczerej życzliwości i sympatyi. Miałem tutaj zostać do 27 lipca.

Katolików jest tu około 800, z tego Polaków przeszło 40; wśród nich trochę Rusinów. Pracę w kościele zacząłem tego samego dnia o godzinie 9. wieczorem. Wyspowiadałem 29 chłopców i dziewcząt polskich, pracujących w Bodenburg na roli. Powiedziałem potem naukę o Najśw. Maryi Pannie z okazyi rozdawania Cudownych Medalików. Skończywszy pracę, wyszedłem na cmentarz, usiadłem na grobie, czekając na Polaków z Wesseln. Wierni tymczasem zostali w kościele, czekając, aż wybije godz. 12, bo po północy mieli komunikować i wracać do domu do Bodenburg, odległego o 3 godziny drogi. O północy rozdałem Komunię św. i poszedłem na spoczynek. W następnym dniu wybrałem się z ks. proboszczem do Wesseln, żeby odwiedzić Polaków i Rusinów,

których tu jest 13, i dowiedzieć się, czemu dnia poprzedniego nie przyszli do spowiedzi. Czterech spotkałem w stodole, zajętych składaniem zboża. Polacy z Królestwa tłómaczyli się tem, że są pomiędzy nimi pewne nieporozumienia i kwasy, dlatego nie mogą przyjść do spowiedzi; Rusini, że nie mogą się spowiadać, bo niema księdza ruskiego i Komunii świętej ruskiej. Perswadowałem, że to wszystko jedno, że dla 5 Rusinów ks. Biskup nie przyśle księdza ruskiego, a P. Jezus tensam. Obiecywałem im dać medaliki, obrazki; zrazu przystali, ale widziałem, że nieszczerze. Wracamy w czasie największego upału. Śmiałe dzieciaki wybiegają ku nam i witają, podając rękę i mówiąc: Guten Tag! Około godz. 4 po poł. wybraliśmy się z Ks. proboszczem do Salzdetfurth, miasteczka odległego stąd o kilka minut drogi. Jest tu stacya klimatyczna i kolonia wakacyjna dla dzieci. Wspaniałe tu sanatorym dla dzieci protestanckich i hotele wśród lasów, wznoszących się w górę terasowato. Wszędzie pełno letników, zażywających tutaj chłodu i chroniącyeh się przed skwarem słonecznym. Wieczorem czekałem już od godz. wpół do 9. na penitentów z Wesseln. Przyszło zaledwo 4 Polaków, czekałem jeszcze do godz. 11, ale na próżno. Smutno mi się zrobiło, bo to zawód po raz pierwszy. Mimowoli przypomniały mi się słowa P. Jezusa odnoszące się do niewiernej Jerozolimy: *Quid debuerim tibi facere et non feci?* Poleciłem ich modlitwom i posłałem Medaliki Cudowne, żeby Matka Najśw. dokonała tego, czego ja nie potrafiłem. W Detfurth wyspowiadałem 33 Polaków, rekrutujących się przeważnie z Królestwa i z Poznańskiego. Włodarz w Wesseln p. Engelke to człowiek bardzo zacny, ubolewa, że taka obojętność wśród jego robotników polskich i ruskich, ale sam jest bezsilny wobec tego. W następnym dniu 27 lipca zrobiłem jeszcze raz wycieczkę do Salzdetfurth, a po południu pojechałem do Hildesheim, gdzie zastałem ks. Witaszka. Tu zostałem do piątku 28 lipca, a po południu wyjechałem o godz. 5. na nowy posterunek misyjny do Hameln nad rzeką Wezerą, gdzie miałem zostać cztery dni, to jest do 1 sierpnia.

Jadąc 3 kwadranse bez przestanku stanąłem w Hameln o godz. 3 kwadranse na 6. Na dworcu oczekiwał mnie już ks. proboszcz Heine, człowiek olbrzymiego wzrostu, a przytem bardzo zacny i poczciwy. Przyjął mnie nadzwyczaj serdecznie i uprzejmie, kocha bowiem Polaków i ma do nich pewną słabość, jak o tem sam miałem sposobność się przekonać Z dworca pojechaliśmy fiakrem na plebanię, gdzie ks. proboszcz dał mi pokój najchłodniejszy i otaczał mnie opieką iście ojcowską. Druga to misya moja w mieście. Hameln liczy 21.000 mieszkańców, z tych prawie połowa katolików. Polaków jest tu w okolicy bardzo dużo, przeważnie z Królestwa i z Galicyi. Około tego miasta snuje się mnóstwo podań, które mi Ks proboszcz opowiadał w chwilach wolnych Kościół nie duży, stylu gotyckiego, oryginalny, bez sklepienia, z elektrycznem oświetleniem. Zaraz na wstępie poinformował mnie ks. proboszcz o pracy. Tydzień przedtem zażądał odemnie telegraficznie wiadomości, kiedy przybędę i jak długo zostanę, aby mógł ułożyć dokładny plan pracy i porozumieć się z chlebodawcami; to też przedłożył mi listę Polaków, mających przyjść do spowiedzi. Wszystko byłoby ładnie, gdyby się tego Polacy byli trzymali. Niestety, największy natłok i ścisk przy konfesyonale był w niedzielę. Nie pomogły barykady z ławek, jakie sam ks. proboszcz poustawiał, aby mnie uchronić od ścisku. Ludzie przełazili przez ławki i gnietli się, że aż konfesyonał trzeszczał, ja ledwom dyszał. Już w sam dzień mego przyjazdu w piątek nadeszło pod wieczór 12 Polaków do spowiedzi. Nie mogąc się doczekać więcej, poszedłem do łóżka i ledwo co nieco wytchnąłem, przychodzą nowe gromady. Spowiadałem do godz. 11, rozdając każdemu penitentowi książeczkę, p. t.: „Zabierz mnie w świat z sobą“, i 3 kartki o alkoholu, podobnie jak w Peine. Po godz. 12. rozdałem im Komunię św. i wszyscy poszli do domu. W sobotę już o godz. 6 rano byłem w konfesyonale. Najwięcej przybyło ich jednak wieczorem i znowu spowiadałem do północy, a po godz. 12 rozdałem im Komunię św. W niedzielę od 6 rano do 2 po poł. wyspowiadałem 120. Po su-

mie miało być polskie kazanie o godz. wpół do 11., czekam aż się kościół nieco opróżni z Niemców, a tu nic. Zanuciłem pieśń „Serdeczna Matko“, ale kościół wciąż pełny, przepełniony Polakami. Wygłosiłem więc kazanie, a potem znów spowiedź do godz. 2. Nigdzie może nie opiekuje się tak troskliwy proboszcz Polakami, jak tutaj. Wyspowiadałem tutaj 275 osób. Dziś byłem w tutejszym szpitalu protestanckim i zakomunikowałem jedną dziewczynę polską ze Ślązka, z okolic Wrocławia. Najśw. Sakrament zaniosłem prywatnie sposobem amerykańskim w małej kapsułce we fraku. Wyruszyłem z Hameln po południu w towarzystwie ks. proboszcza do Hildesheim. Jutro wyjeżdżam na nową pracę do Sorsum. Pozostaje jeszcze ośm innych miejscowości do zwiedzenia.

Bilderlahe ad Seesen, dnia 25 sierpnia 1911.

W liście z dnia 1 sierpnia podałem Przew. ks. Wizytatorowi sprawozdanie z pierwszych czterech ekskursyi misyjnych, odbytych w lipcu. Pozostaje mi jeszcze zdać relacyę z dziesięciu wycieczek z sierpnia. Byłem w Sorsum od 2 do 3 sierpnia, wyspowiadałem 20 osób; w Schladen 4—5 sierpnia, 71; w Mehle 5—8 sierpnia, 156; w Egenstädt 9—11 sierpnia, 49; w Gronau nad rzeką Leine, 12—14 sierpnia, 260; w Grasdorf 14—16 sierpnia, 110; w Himmelsthür 17—18 sierpnia, 112; w Nörten 19—21 sierpnia, 144; w Bilderlahe 23—26 sierpnia, 113; wreszcie w Northeim 26—28 sierpnia, 348.

Podawszy w głównych zarysach statystykę mej pracy misyjnej, sądzę, że nie od rzeczy będzie, podać kilka ważniejszych szczegółów, tyczących poszczególnych parafii, w których pracowałem.

Powróciwszy z Hameln do Hildesheim dnia 1 sierpnia, zwiedzałem miasto wraz z ks. Witaszkiem, a przedewszystkiem oglądaliśmy katedrę i kościół św. Gerharda. — Dnia 2 sierpnia wybrałem się na piątą z kolei ekskursyę, do Sorsum. Z dworca w Emerke szedłem najpierw pieszo, a potem

jechałem powozem, który wysłał po mnie zacny tamtejszy ks. dziekan Metz.

Sorsum to mała, lecz śliczna, z pięknymi trotoarami, jak w mieście, wioska niedaleko Hildesheim, licząca około 800 katolików, a protestantów około 50. Kościół ładny, z ciosu, jednonawowy, przestronny, stanął niedawno temu, kosztem 28.000 marek Ks. proboszcz, energiczny i poczciwy starzec 70 letni, nie zapowiedział Polakom o mojem przybyciu, jak to gdzieindziej robiono; stąd pewne zamieszanie z początku.

Polaków jest w Sorsum przeszło 20; pochodzą z pod Tarnowa w Galicyi i z Królestwa. Do spowiedzi przyszli wszyscy jeszcze tego samego wieczora o godzinie 9; a nazajutrz przystąpili do Stołu Pańskiego. Po Komunii św. rozdawałem medaliki i powiedziałem im naukę o nabożeństwie do Matki Najśw. Żałowali tylko, że zbyt krótko u nich zabawiłem. Po południu 5. sierpnia wróciłem do Hildesheim.

Według planu, nakreślonego przez ks. biskupa, miałem się teraz udać do Mehle. Że jednak za mego pobytu w Hameln, prosił mnie ks. proboszcz ze Schladen, bym naprzód przybył do jego parafii wyspowiadać Polaków i przygotować ich do bierzmowania, którego ks. biskup miał w następną niedzielę udzielać, wybrałem się 4 sierpnia, mimo że mi to nie było na rękę, do Schladen. Po drodze podziwiać mogłem prześliczne góry Harz, z najwyższym szczytem Brocken. Na stacyę w Vienenburg, przybył po mnie wikary ze Schladen. W miasteczku wszystko, co żyło, krzątało się około strojenia na przyjęcie ks. biskupa. — Kościół w Schladen prześliczny, zbudowany niedawno, gdyż przed sześciu laty, zawalił się, stary od uderzenia piorunu. Obok kościoła na cmentarzu wznosi się wspaniała grota, służąca za grobowiec rodzinny dla pewnego milionera ze Schladen. Zacny i serdeczny ks. proboszcz Henschel mówił, że Polaków przygotowujących się do bierzmowania jest około 30; było ich jednak 70. Pochodzą przeważnie z Królestwa, z gubernii Kaliskiej. Zacząłem spowiadać o pół do dziewiątej wieczorem, a skoń-

czyłem przed dwunastą. Powiedziałem następnie kilka słów o bierzmowaniu, a po północy rozdałem im Komunię św.

Następnego dnia, 5 sierpnia przed południem, spieszyłem przez Hildesheim na siódmą placówkę, do Mehle. — Wioska ta liczy 800 dusz, z których jest 120 katolików. Kościół tam niewielki, raczej kaplica, bezpośrednio połączona z plebanią. — Do parafii należy 8 folwarków: Elze, Sehlde, Voldagsen, Spiegelberg, Eggersen, Wülfinghausen, Fahrmsen i Eldegsen.

Przyjechawszy w samo niemal południe, zastałem już jedną Polkę czekającą na spowiedź Reszta Polaków miała przyjść wieczorem. Ponieważ do pół do dziesiątej nie było nikogo, poszedłem na spoczynek Nagle o 11 słyszę głośne stukanie i hałasy. To cała gromada, 40 ludzi przybyła do spowiedzi z Wülfinghausen. Ciężko było wstać, bom zmęczony był kilkurazową pracą w nocy. Żal mi jednak było tego ludu, bo *erant vexati et iacentes sicut oves, non habentes pastorem;* wstałem więc i poszedłem do kościoła. Było pół do dwunastej. Zobaczywszy mnie, sami prosili, bym poszedł wypocząć, a oni zaczekają do rana.

Nazajutrz, w niedzielę 6 sierpnia, siadłem do konfesyonału o godz. 4. Ścisk i natłok był niesłychany. Wyspowiadałem do pół do pierwszej 140 osób. W ciągu tego miałem o pół do jedenastej kazanie o Najśw. Maryi Pannie. Po kilku zaledwie słowach powstał taki płacz i szlochanie w kościele, że musiałem często przerywać. Wreszcie po upływie pół godziny widząc, że już dalej nie można, urwałem i zanuciłem im pieśń: „Serdeczna Matko“, której słowa: „Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy“, dziwnie jakoś harmonizowały z tym jękiem ludu. Polacy tu przeważnie z Królestwa, z gub. Kieleckiej.

Po południu rozdałem im 152 medalików. Prosili, żebym ich odwiedził w koszarach; przyrzekłem. Przybyło po mnie 2 chłopaków, twierdząc, że tylko kwadrans drogi do Wülfinghausen. Idę spiesznie kwadrans jeden, potem drugi i jeszcze nic nie widzę; idę kwandrans trzeci i kawał czwar-

tego, aż wreszcie stanąłem w koszarach polskich. Radość zapanowała wielka. Jest tam 60 Polaków, chłopaków i dziewcząt; rozdałem im obrazki, zachęcając, żeby się dobrze trzymali, znosili cierpliwie los swój tułaczy, który tutaj, jak mi się skarżyli, ciężko im nieraz dokucza.

Nazajutrz przybyło jeszcze 10 osób do spowiedzi, pomiędzy temi i Rusini. Rozdałem im także medaliki. Po południu wybrałem się z ks. proboszczem na spacer, aby poznać nieco prześliczną okolicę, okoloną przeważnie lasami. Proboszcz, serdeczny, objaśnia: „Tam za lasem, to miasto Gronau; tam zaś to, co widać, to zamek dawniejszych królów hanowerskich, wspaniały, warowny jak forteca“ i t. d. Pod wieczór przybyło jeszcze 5 ludzi do spowiedzi z Eldegsen. Wyspowiadałem ich i po północy rozdałem im Komunię św. Z przestrachem opowiadali mi o pewnym robotniku, który dnia poprzedniego nagle zachorował przy pracy; — „cały czarny“, powiadają. Iść tam nie mogłem, bo północ już była, a następnego dnia wyjeżdżałem.

Jakaś Niemka, p. Dannhausen, żona właściciela dóbr z Elze (w prow. Hannower), prosiła mnie, bym tam pojechał pogodzić poważnionych polskich robotników, którzy się pobili poprzedniego dnia i chcą uciekać. Miałem właśnie tamtędy wracać do Hildesheim, więc zgodziłem się chętnie. Pojechałem do Elze. Na dworcu czekał na mnie akademik, syn państwa Dannhausen. Za kwadrans stanąłem w dworze, aby zbadać sprawę i pokojowo spór załatwić. Wezwałem do siebie robotników. Po ściągnieniu z nich protokołu, pokazało się, że trzech było winnych. Kazałem ich bezwłocznie wydalić ze służby, gdyż wszyscy pod tym tylko warunkiem przyrzekli, że pozostaną, bojąc się o swoje życie. Właściciel dóbr, p. Dannhausen był wówczas w Hannowerze, by werbować nowych robotników, w razie, gdyby ci odeszli. Pożegnałem grzeczne i zacne państwo, poszedłem zwiedzić miasto, a następnie na dworzec, na pociąg do Hildesheim. P. Dannhausen wrócił tymczasem. Posłał więc syna na dworzec, z zaproszeniem na obiad, ale odmówiłem z braku czasu.

Dziękując Bogu, że udało mi się sprawę załatwić pomyślnie dla państwa, tak dobrego dla swych robotników, powróciłem do Hildesheim na chwilowy wypoczynek.

Dnia 9 sierpnia wyspowiadałem dwu Polaków w kościele seminaryjnym, a po południu wyjechałem na nową placówkę do Egenstädt. Na dworcu w Gross-Düngen oczekiwał mnie już ks. proboszcz Nothdurft. Za pół godziny pieszo, wracając się ku Hildesheimowi, stanęliśmy na plebanii, obok której o jakie 10 metrów przejeżdża kolej, ale tu nie staje. Egenstädt, to wieś mała, cała katolicka (co w tutejszej dyasporze rzadkością), licząca 150 dusz, o pół godziny odległa od Marienburg, dóbr należących niegdyś do biskupa w Hildesheim, które po sekularyzacyi przeszły w ręce protestanta. Znajduje się tu olbrzymi folwark i baszta przeznaczona niegdyś na więzienie. Kościół w Egenstädt jest nie wielki, ale gustowny, z elektrycznem oświetleniem.

Po kolacyi poszliśmy z ks. proboszczem do Marienburg, gdzie w koszarach jest około 60 Polaków z Królestwa, z pod Częstochowy. Zachęcałem ich do spowiedzi i przyrzekli, że przyjdą, jedni dziś, drudzy jutro. Odwiedziłem też rodzinę polską. Był tam staruszek 80-letni, który stronił od kościoła. I on przyrzekł, że także przyjdzie jutro do spowiedzi. Wieczorem o godznie 9½ nadeszło 13 Polaków: 4 chłopaków i 9 dziewcząt. Wyspowiadałom ich, wygłosiłem naukę o Najśw. Maryi Pannie, włożyłem wszystkim medaliki; a po północy rozdałem im Komunię św. W następnym dniu pod wieczór, wybrałem się z ks. proboszczem do Röderhof, dominium, odległego o pół godziny od Egenstädt, dawnej własności OO. Kartuzów, a dziś należącego do biskupiego wikaryatu w Hildesheim. Włodarzem jest katolik, przychylny Polakom, których tam jest siedmioro. Jedna rodzina polska, jest taka: Ojciec katolik, matka protestantka, dzieci katolickie, ale nie umiejące po polsku. Namawiałem ojca do spowiedzi. Zaczął się wymawiać, że nie ma czasu, w końcu przyrzekł, — ale nie przyszedł. — Wieczorem przybyło do spowiedzi 35 Polaków. Wyspowiadałem wszystkich,

a po północy rozdałem im Komunię św. Nakoniec włożyłem im medaliki i powiedziałem krótką naukę.

Nazajutrz, dnia 11 sierpnia udałem się pieszo na stacyę Gross-Düngen, by wrócić do Hildesheim. Po południu zwiedzałem nieco osobliwości miasta; a pod wieczór trzeba było studyować mapę i obmyślać dalsze wycieczki. W następnym tygodniu czekała mnie praca uciążliwa, bo aż w trzech miejscach, a byłem już zmęczony.

Dnia 12 sierpnia po południu wyruszyłem na nową, dziewiątą z kolei ekskursyę, do Gronau, nad rzeką Leine. Na dworcu czekał już na mnie wikary, ks. Selbreiter. Ks. proboszcz Jan Gerhardy był wówczas nieobecny, bawił na wakacyach. Gronau (właściwie Grüne Au) to stare i piękne miasteczko; liczy około 4000 mieszkańców, przeważnie protestantów. Kościół podominikański, nie duży, ale ładny, zbudowany w stylu barokowym. Dawny klasztor OO. Dominikanów służy dziś za plebanię. Na parterze mieści się nadto szkoła miejska, w jednem skrzydle, a w drugiem jest kancelarya landrata. Na korytarzach pełno pięknych i sławnych obrazów, pędzla jednego z Dominikanów: np. Agar na pustyni, Ofiara Izaaka, Eliasz na puszczy i t. p. Jest tu kościół protestancki, który był do r. 1803 katolickim, pod wezwaniem św. Mateusza. Polaków tu bardzo dużo po folwarkach, z Królestwa i kilkunastu ze Ślązka. — Wieczorem, w dzień mego przyjazdu o godzinie 9, nadeszło 91 Polaków, a przedtem 4 miejscowych. Spowiadałem do godz. 12 $^1/_2$, a potem rozdałem Komunię św. tym, którzy z daleka przyszli. Bliżsi przyszli w niedzielę, mianowicie z Banteln, Rheden i t. d. Zmęczony ogromnie, a potem trochę cierpiący, ledwo podołałem temu wszystkiemu. Nazajutrz, 13 sierpnia, niedziela. Spowiedź trwała od wpół do 7 do 1. Wyspowiadałem 117 osób. O godz. wpół do 11 wygłosiłem kazanie, o godz. 3 odprawiłem błogosławieństwo, poczem włożyłem wszystkim medaliki. Poświęciłem im także rozmaite rzeczy, a w konfesyonale rozdawałem, podobnie jak w Peine i Hameln, książeczki p t. „Zabierz mnie z sobą w świat!“ Polacy tu-

taj wyjątkowo bardzo moralnie się trzymają, zwłaszcza w Banteln, gdzie ich jest około 60 z Królestwa i kilku z Górnego Ślązka. — Po błogosławieństwie wyspowiadałem jeszcze 15 osób, a wieczorem, zaproszony przez włodarza, wybrałem się z ks. wikarym do Banteln, do Polaków. Włodarz niejaki p. Breźniak, Polak, pochodzący od Opola z Górnego Ślązka, bardzo zacny człowiek. Dzieci jego milutkie i pobożne umieją jeszcze po polsku. Radość wielka zapanowała wśród Polaków. Przy pożegnaniu rozdałem im obrazki, spiesząc na wypoczynek do Gronau. Droga do Gronau prowadziła wzdłuż rzeki Leine, obok kilku tysiącletnich olbrzymich dębów. W kościele czekali na mnie znowu Polacy z Haus-Escherde, w liczbie 28. Wyspowiadałem ich i po północy rozdałem im Komunię św. Rano przybyło jeszcze pięciu. — Uderzyło mnie tutaj to, że większą część kościoła zapełniały same dzieci. Wszystkie regularnie uczęszczają do kościoła i w czasie nabożeństwa głośno odmawiają różaniec lub inne modlitwy, klęcząc przez cały czas bez oparcia. Nauczyciel, wielki rygorysta, sam pilnuje porządku. Gdy się, które z dzieci oglądnie, strofuje natychmiast.

Przed dziewiątą, pożegnałem Gronau, by pospieszyć na dziesiątą ekskursyę do Grasdorf, leżącego po przeciwnej stronie Hildesheimu. W Derneburg czekał na mnie na dworcu alumn z seminaryum hildesheimskiego, bawiący tam na wakacyach. Za pół godziny byliśmy na plebanii w Grasdorf, gdzie mnie powitał ks. dziekan Sander, uprzejmy i serdeczny nadzwyczaj. Przypuszczając, że przybywający polski kapłan będzie w starszym wieku, ustąpił swego pokoju na parterze, a sam pomimo 60 lat wieku pofatygował się na piętro. Usłużność swą posuwał do tego, że w razie potrzeby zastępował mi nawet kościelnego lub ministranta. Na probostwie mieszkał także jego ojciec, 82-letni bardzo pobożny starzec, nawrócony pastor protestancki.

Grasdorf, to ładne miasto, ale nawskróś protestanckie; rodzin katolickich jest tam zaledwie kilka. Kościółek mały,

lecz piękny, sięga wieku XIV; zbudował go Biskup Oton II. w r. 1330. — Polaków w okolicy przeszło 100, w Derneburg, Astenbach, Luttrum, Wohldenberg etc. Pochodzą przeważnie z Królestwa; kilku jest z Galicyi. Spowiadałem wieczorem, a nazajutrz, w święto Wniebowzięcia N. M. P., od szóstej rano do pół do pierwszej. Wyspowiadałem 107 Polaków i kilku Niemców. Ks. Dziekan odprawiwszy zrana o pół do ósmej msze św., dał mi kościół na cały dzień do dyspozycyi

Następnego dnia pożegnałem Grasdorf, by powrócić do Hildesheim na krótki wypoczynek. Koło Derneburg podziwiałem wspaniałe zabudowania dawnego klasztoru OO. Cystersów, których stąd wypędzono.

Jest niedaleko Hildesheim miejscowość, zwana Bramą niebieską, Himmelsthür. Postanowiłem i tam zapukać. Pod czas gdy ks. Witaszek spieszył do Achtum, ja również pieszo dążyłem do Himmelsthür, bo i tam schroniło się kilkudziesięciu polskich tułaczów. W trzy kwadranse drogi pod górę stanąłem na miejscu, witany przez staruszka proboszcza, ks. Blumenberg, grzecznie wprawdzie, ale jakoś zimno i niedowierzająco. Wziął mnie widać za kogoś innego. Gdym mu jednak powiedział, żem Misyonarz, zerwał się na równe nogi, żeby mnie uściskać. Rozczulił się jak dziecko, gdyż bardzo, jak mówił, kocha księży Misyonarzy; u nich zawsze rekolekcye odprawiał, na misye ich prosił, a nawet niegdyś chciał wstąpić do Zgromadzenia.

Dobrzeby się tak było gwarzyło o tem i owem, ale już czekali w kościele ludzie. Pospieszyłem więc do małej, lecz schludnej świątyni Pańskiej i od 5 do pół do 11 wieczorem wyspowiadałem 110 osób. Przyszli najwięksi nawet grzesznicy, przerażeni świeżym, strasznym wypadkiem. W sobotę, 12 sierpnia upadła jedna z polskich dziewcząt z wozu na boisko i na miejscu się zabiła. Wyzyskałem tę okoliczność w kazaniu o zbawieniu, które wygłosiłem w dniu następnym. Zrana wyspowiadałem jeszcze dwie osoby, rozda-

łem Komunię św., włożyłem wszystkim medaliki. Około pół do dziesiątej byłem już w drodze z powrotem.

16 września 1911.

Dnia 19 sierpnia spieszyłem na dalszą pracę do Nörten, koło Getyngi stanąłem tam po południu. Nörten, to miasteczko ładne, liczące zaledwie 1500 mieszkańców. Kościół katolicki obszerny, zbudowany z ciosu o 3 wieżach. Do spowiedzi nadeszli Polacy o godzinie 8 wieczorem. Wyspowiadałem do godz. 11 osób 53. W następną niedzielę spowiadałem od 6½ do 10. Po sumie wygłosiłem kazanie o modlitwie. W dniu tym wyspowiadałem 45 Polaków i kilku Niemców. Po błogosławieństwie, które odprawiłem dla Polaków i Niemców o godz. 2, rozdałem wszystkim medaliki. Pod wieczór wybrałem się z nauczycielem na wycieczkę do Hardenburg, gdzie znajdują się na wysokiej skale wspaniałe ruiny zamku jednego z dawniejszych Raubritterów niemieckich. Obecnie wszystkie te dobra, obejmujące około 700 morgów, należą do księcia na Pszczynie (G. Śl.), który chciał te ruiny zamku odbudować, ale rząd pruski na to nie pozwolił. Z powrotem, odwiedziłem Polaków w koszarach w Hardenburg, rekrutujących się przeważnie z Królestwa Polskiego. Prosili, żeby im sprowadzić kilka egzemplarzy książek do nabożeństwa: „Droga do nieba“ i „Zbiórek modlitw“, co też chętnie uczyniłem. Z radością dodaję, że tutaj wszyscy Polacy, chłopcy i dziewczęta w liczbie około 60, dobrze się trzymają i są zadowoleni ze swego losu, chociaż mieszkają w starej ruderze, ze wszystkich stron popodpieranej; gdyż chlebodawca, lubo protestant, dobrze się z niemi obchodzi, a do kościoła mają blizko. Płakali rzewnie, gdy ich opuszczałem, ale na pociechę powiedziałem im, że za tydzień będę w Northeim, niedaleko Nörten, zatem mogą tam dotąd przyjechać. Wielu to uczyniło. W następnym dniu miałem jechać z ks. proboszczem do Moringen, gdzie znajduje się więzienie, w którem ks. proboszcz raz na tydzień odprawia mszę św. Znaj-

duje się tam kilku Polaków, których chciałem wyspowiadać. Musiałem jednak zrezygnować z tej wyprawy, gdyż rano w poniedziałek nadeszło 46 Polaków z Marienstein do spowiedzi, których przyprowadził sam włodarz. Wyspowiadałem wszystkich, a został tylko sam włodarz, który innych ustawiał koło konfesyonału, żeby się wyspowiadali, ale sam nie przyszedł. Idę do niego i mówię: No, teraz na was kolej, chodźcie do spowiedzi. A on.: „Ja nie pójdę:“ Pytam, dlaczego, i chcąc mu dać odwagi, powiadam: „Ja wam dopomogę“. A on: „Ja nie pójdę, bo ja schizmatyk“. Po Komunii św. rozdałem medaliki. Włodarzowi bardzo się to widać podobało, jak to znać po nim było, więc i jemu dałem medaliki dla niego, dla żony i dzieci. Ze łzami w oczach je całował i przyciskając je do piersi dziękował mi serdecznie. Po południu pożegnałem zacnego ks. dziekana, by się wybrać do Hildesheim z powrotem.

W środę, dnia 23 sierpnia po południu, wyruszyłem na dwie ostatnie misye, do Bilderlahe i Northeim. Chcąc się dostać do Bilderlahe, wysiadłem w Alt-Gandersheim w W. Ks. Brunszwickiem. Ponieważ zaś na dworcu nie zastałem nikogo, wybrałem się piechotą, według wskazówek ludzi pod górę, gdyż opodal za lasem miało być Bilderlahe, cel mej podróży. Szedłem pół godziny, godzinę, a las się nie kończy. Nogi nieomal posłuszeństwa już odmawiać zaczęły — mnie strach zbierał, gdyż stąpam po zakazanej dla księży katolickich ziemi Brunszwickiej. W końcu jednak zobaczyłem jakiś folwark. Idę więc pytać o drogę do Bilderlahe. Wskazują mi kotlinę, a w niej zapadłą wioskę; to Bilderlahe. Była już blizko 6 godzina, gdym stanął w Bilderlahe, witany serdecznie przez ks. proboszcza Garbsa. Przepraszał, że nie mógł posłać po mnie nikogo, bo koni nie ma, a przytem tak daleko, niktby nie szedł. Szczera, poczciwa to dusza, siedzi tu jak pustelnik odcięty od świata cywilizowanego, bo najbliższy jego sąsiad ks. proboszcz z Lamspringe mieszka o trzy godziny drogi pieszej od niego. Bilderlahe to wioska mała w kotlinie, ze wszystkich stron

otoczona lesistymi pagórkami. Zewsząd ją zamyka księstwo Brunszwickie, na wskróś protestanckie, gdzie jest podobno tylko czterech czy pięciu księży katolickich. Kościół mały, zgrabny, czysto utrzymywany. Tuż obok koszary polskie, które zwiedziłem z ks. proboszczem tego samego dnia, zapraszając Polaków do spowiedzi. Skarżył się ks. proboszcz na to, że chociaż mają tak blizko kościół, nie uczęszczają jednak w niedzielę i święta na nabożeństwo. Są to przeważnie wychodźcy z Galicyi, od Rzeszowa, i z Królestwa.

Wieczorem przybyło 46 Polaków do spowiedzi. Spowiadałem od $8\frac{1}{2}$ do 11. Po północy rozdałem Komunię św.; włożyłem im cudowne medaliki, powiedziałem naukę i zachęciłem do pilnego uczęszczania na nabożeństwo. Przyrzekli się tego trzymać.

Następnego dnia przybyli Polacy z Achenhausen i kilku z Bilderlahe, w liczbie 27; znowu po północy rozdałem im Komunię św., potem dałem im medaliki i wypowiedziałem kilka słów na zachętę i pociechę.

Dnia 25 sierpnia rano, przybyli Polacy z Kirchberg i Seesen, w liczbie 39. Są przeważnie z Galicyi od Oświęcimia i ze Ślązka. Bardzo regularnie uczęszczają oni do kościoła w niedziele i święta, chociaż mieszkają daleko. Rozdałem im cudowne medaliki, zachęcając, by gorąco kochali Matkę Najświętszą. Po południu wybrałem się z ks. proboszczem na przechadzkę do Wohldenstein, gdzie wysoko w lesie znajdują się ruiny olbrzymiej twierdzy. Zachowała się jeszcze dobrze jedna baszta, która służyła podobno za miejsce do tracenia zbrodniarzy. Dziwne tu podobno rzeczy się odbywały w dalekiej przeszłości, gdy rozgrywała się narodowa walka pomiędzy księciem brunszwickim a biskupem hildesheimskim, który zwyciężył wreszcie, dzięki św. relikwiom, które trzymał w rękawie, a które w krytycznej chwili pokazał żołnierzom, zapalając tym sposobem ich męstwo. Dużo mi o tem opowiadał po drodze ks. proboszcz, ukazując równocześnie prześliczne okolice, rozciągające się daleko i szeroko, i zaznajamiając mnie z ich historyą.

Dnia 26 sierpnia odprawiłem wczas rano mszę św., do której służył mi ks. proboszcz, wyspowiadałem jeszcze jednego chłopaka, a po śniadaniu wyruszyłem z ks. proboszczem na stacyę do Seesen, odległą o 3 kwadranse drogi, a stąd podążyłem przez Kreiensen do Northeim na ostatnią misyę. Na dworcu oczekiwał już ks. proboszcz Meier. — Northeim, to miasto piękne, dość duże, liczące około 8000 mieszkańców. Kościół bardzo ładny, z kamienia ciosowego. Już tu czekało na spowiedź 4 Polaków z Królestwa. Po spowiedzi i Komunii św. zaprosił ich ks. proboszcz na śniadanie i ugościł bezinteresownie. Wieczorem przybyło do spowiedzi 119 i robota była do godz. 11. Polacy z dalsza zostali w kościele przez noc. W następnym dniu, 27 sierpnia, w niedzielę, już wczas rano kościół był zapełniony. Ścisk koło konfesyonału niesłychany. Spowiadałem od $5^1/_2$ do 2 godz. Wyspowiadałem ogółem 158 osób, w tem i kilku Niemców. Z pomiędzy wszystkich miejscowości, które zwiedziłem, ta była najgorsza: upadek moralny straszny. Widziałem, że tu trzeba dla nich pigułek ostrych. Powiedziałem przeto kazanie o sądzie ostatecznym i o strasznych karach za rozpustę. Płacz i szlochanie, oraz głośne przyrzekanie, że się poprawią, napełniły mnie otuchą, że będzie lepiej. Po południu o godz. 3, błogosławieństwo, potem włożyłem wszystkim medaliki. Około $4^1/_2$ wybrałem się z ks. proboszczem na przechadzkę, wspinając się wciąż pod górę, do miejsca zwanego Wieterturm, skąd roztacza się prześliczny widok na jakie 8 mil w promieniu. Cudowne to okolice! Potem zeszliśmy do t. zw. „Brunnen", gdzie w restauracyach i kawiarniach roiło się od gości, zażywających tutaj przyjemności wszelkiego rodzaju. Wieczorem przyszło jeszcze do spowiedzi 13 osób, które przez całą noc zostały w kościele, bo nie było już komunikantów. W poniedziałek, 28 sierpnia wczas rano przybyło jeszcze 58 Polaków z Catlenburg i Moringen; spowiadałem od $5^1/_2$ po $8^1/_2$, rozdając i tutaj książeczki. Mając wyruszyć na ekskursyę do Northeim, otrzymałem od ks. biskupa hildesheimskiego list z Fuldy,

z prośbą, abym uwiadomił dziewczęta Polskie w Odagsen o moim przyjeździe do Northeim, bo jedna z nich niejaka Chwalisz prosiła go piśmiennie, żeby im przysłał polskiego kapłana. Napisałem do nich. Przybyło ich pięć, a cieszyły się niezmiernie, że mogły zobaczyć polskiego księdza i słyszeć słowo Boże po polsku. Tu także w niedzielę ochrzciłem dziecko, z którem rodzice czekali już od dwóch tygodni na przyjazd polskiego kapłana. Do spowiedzi stawili się prawie wszyscy Polacy w liczbie 348, t. j. więcej niż się spodziewałem. Miałem zamiar wyjechać z Northeim już o godzinie 8; wyszedłem jednak z kościoła dopiero o godz. 9. Miałem zaledwie tyle czasu, żeby spakować rzeczy i wysłać list do Przewielebnego ks. Wizytatora. W towarzystwie ks. proboszcza udałem się na dworzec, a stąd ruszyłem do Hildesheim. Zjeżdżali się właśnie księża na rekolekcye do seminaryum. Pokoje nasze były zajęte. Musiałem więc mieszkać u Sióstr Wincentek. Nie było mi to zbyt na rękę, dlatego postanowiłem wyjechać natychmiast. Poszedłem pożegnać się z ks. biskupem, lecz ponieważ był bardzo zajęty, więc prosił lokaj, bym przyszedł o godzinie 3. Ks. biskup dowiedziawszy się, że mam odjeżdżać, sam przybył na pożegnanie; dziękował serdecznie za pracę i na przyszły rok zapraszał. Tożsamo księża proboszczowie, w których byłem na ekskursyi, ponawiali swe dzięki i o dalszą pomoc nalegali.

O godzinie 4 wsiadłem na pociąg, który mnie uniósł z Hildesheim, przez Drezno, Wrocław, do Krakowa.

W ciągu całego pobytu wśród Polaków, odbyłem wycieczek misyjnych 14, wyspowiadałem osób 2.346, nauk wygłosiłem przeszło 20, medalików włożyłem przeszło 2000.

(Dokończenie nastąpi).

Pięćdziesięciolecie Stowarzyszenia Dzieci Maryi w Poznaniu.

1861—1911.

Pięćdziesiąt lat wiernej służby w drużynie Najświętszej Maryi Panny jest słusznym i wystarczającym powodem, by z radością wstecz spojrzeć i ucieszyć się plonem łask zebranych w przeciągu pół wieku, w chwilach doli i niedoli. Powód radości i dla Najświętszej Panny, zapewne, ale i dla tych, którzy troskliwem nieraz okiem patrzeli na rozwijające się Stowarzyszenie, i dla tych, którzy w rozwoju jego brali udział. W roku bieżącym upływa 50 rok od założenia Stowarzyszenia Dzieci Maryi w Poznaniu. Dobrze się i szczęśliwie złożyło o tyle, że oprócz Sióstr Miłosierdzia domu św. Józefa, przy którym to Stowarzyszenie istnieje, uczestniczyło i drugie Zgromadzenie św. Wincentego, któremu, jak przepięknie wyraża się dekret Kongregacyi Obrządków, z rozporządzenia św. Założyciela „solemne semper fuit", niepokalany początek Maryi wyznawać i czcić.

Zawiązki Dzieci Maryi u św. Józefa sięgają jeszcze dawniejszych lat, ale organizacyę przepisaną, a zatem i egzystencyę prawną zyskały w r. 1861, za staraniem ks. Kamockiego i Siostry Łuszczewskiej, która też pomimo rozlicznych zajęć jako przełożona domu wzięła na siebie ciężar dyrektorki Stowarzyszenia. Małe to były zaczątki, drobne i niepokaźne, jak z księgi protokołów można się przekonać. Trudności było wiele, które z czasem zwłaszcza ze strony rządu miały jeszcze ciągle się powiększać. Obok nazwisk Siostry Ireny Łuszczewskiej i Misyonarza ks. Gawrońskiego, którzy pierwszemu zebraniu przewodniczyli, niech wolno bę-

dzie tu wypisać dwa nazwiska maluczkich, których historya z pewnością nigdy nie wspomni, a dla idei nie są bez znaczenia: Jadwiga Krzesińska, pierwsza prezydentka, i Albertyna Gutkowska, pierwsza asystentka. To pierwsze zebranie z datą 21 maja 1861.

Zaszły zmiany w zarządzie dosyć wcześnie, bo ostatni podpis ks. Gawrońskiego jest pod sprawozdaniem z zebrania z 1 czerwca 1862. Potem coś w Stowarzyszeniu rwie się, następne zebranie odbywa się dopiero po sześciu miesiącach, i z góry i zdołu, zdaje się, nie dosyć gorliwości i mało wzajemnego zaufania. Wstrząsające, niezapomniane wrażenie sprawiło na wszystkich obecnych zebranie z 15 marca 1863. Dosyć powiedzieć, że odbyło się przy dopiero co zastygłych zwłokach Dziecka Maryi, Kazimiery Koszkowskiej.

Z pośród Misyonarzy mógł tylko jeszcze jeden być dyrektorem Dzieci Maryi; był nim po księdzu Gawrońskim ks. Strover. Ze strony Sióstr Miłosierdzia kierowała Stowarzyszeniem po Siostrze Łuszczewskiej Siostra Barbara Zaremba, która w służbie ubogich i chorych także obecnie liczy sobie rok pięćdziesiąty. Wypadki polityczne tymczasem uniemożliwiły Misyonarzom pobyt pod berłem Hohenzollernów. Sodalicyą zajęli się ks. Kłoniecki po ks. Stroeverze, a potem ks. Gałecki. Czasy walki kulturnej, które tak silne razy wymierzały w Kościół w Niemczech, utrudniały też niezmiernie nietylko rozwój, ale i istnienie Dzieci Maryi. Zdawało się, że nie przetrwają rozszalałej burzy. Zabraniano zebrań, karano za noszenie odznak, węszono za „tajemnemi schadzkami i zgromadzeniami“, ale Dzieci Maryi pozostały wierne raz przyjętym obowiązkom. Naturalnie, że nie spisywano już w ciągu dalszym protokołów z posiedzeń, nie zapisywano urzędniczek, nie rejestrowano nowo wstępujących członków, by w ten sposób nie gromadzić piśmiennych dowodów przeciwko sobie; ale wszystko tylko ustnie załatwiano. Niepodobna przeoczyć w tym wypadku zasług Siostry Dyrektorki, bo to przedewszystkiem dzięki jej nieustraszonej energii, jej czujności, nie rozpadło się Stowarzyszenie. Zachęcała „Dzieci“

do wytrwania, uczyła ostrożności i oględności i sama nieraz obces indagowana przez organa rządowe umiała wymijającą dać odpowiedź.

Po kulturkampfie prowadzili dzieło dalej ks. kanonik Pędziński i ks. Adamski, a obecnie ks. Bajerowicz.

Stowarzyszenie, które takie przetrwało burze, które umiało stawić czoło największym trudnościom i pokonać je, które po latach represaliów, szykan i prześladowań umiało do niebywałej rozwinąć się świetności, ma po pięćdziesięciu latach wiernej służby i apostolstwa pod chorągwią Niepokalanej, wszelkie prawo do uroczystej radości, do jubileuszu.

Przepiękna to akkomodacya psalmu, gdy Kościół w dniu Cudownego Medalika w słowach: „Cieszcie się wszyscy w Panu i wyznawajcie pamiątkę świętości Jego“, ostatnie słowo zamienia na „Jej“ i stosuje do Najświętszej Maryi Panny. Tak aktualne, tak żywe, tak dobre i trafnie do chwili zastosowane zyskiwały te słowa znaczenie, gdy piękna kaplica Sióstr Miłosierdzia w domu św. Józefa była przepełniona 800 rozrzewnionemi Dziećmi Maryi, uczestniczkami jubileuszu. Głęboką była myśl, że przez rekolekcye, z budującem skupieniem odprawione (25—29 września), przygotowano się do tej radości w Panu i do wyznania pamiątki świętości Niepokalanej, a radość i pamiątkę tę uświetniły dwa momenta w przemowie ks. Dyrektora: list gratulacyjny O. Generała i telegram z Rzymu, od Ojca św. Do życzeń tak zacnych i zaszczytnych przesłanych Dzieciom Maryi cieszącym się z 50-ciolecia, w którem 2.930 stowarzyszonych korzystało z łask Najwiętszej Panny, dodawali obecni swoje życzenia w modlitwie i z daleka je ponawiali:

Numisma quos ornat tuum,
Fove benigno lumine;
Virtus sit inter proelia
Aegisque in hostes praepotens.

Ks. Wilhelm Szymbor.

Siostry Miłosierdzia w Palestynie.

Kiedy w roku 1883 Najczcig. O. Generał, ks. Antoni Fiat wizytował domy naszych Konfratrów i Sióstr w Małej Azyi i Egipcie, już wówczas proszono go z wielu bardzo stron, aby także posłał Siostry Miłosierdzia do Palestyny. W Jeruzalem i w Palestynie istniały już wówczas różne Zgromadzenia żeńskie, jak n. p. Siostry ze Zgromadzenia św. Józefa, Siostry Karmelitanki na górze Oliwnej i w Betleem, Siostry Dames de Sion, założone przez ks. Ratisbonne, Zgromadzenie P. P. Wizytek, Soeurs Reparatrices jednakże Zgromadzenia te oddawały się wyłącznie tylko wychowaniu młodzieży i życiu bogomyślnemu, aby na miejscach uświęconych pobytem Pana Jezusa rozpamiętywać tajemnice Jego życia, a zarazem przez umartwienie i pokutę naprawiać krzywdy, wyrządzane Boskiemu Sercu, i tym sposobem ściągać łaskę i błogosławieństwo na tę ziemię, zlaną krwią P. Jezusa, na której wszakże wciąż jeszcze ciąży przekleństwo tych, co wołali przed trybunałem Piłata: „Krew jego niechaj spadnie na nas i na syny nasze“.

W XIX. w. po raz trzeci musi zdobywać sobie idea Chrystusowa tę ziemię, na której żyli prorocy, którą tak bardzo ukochał Pan i Bóg nasz. W w. IV. i V. cała Palestyna zaludniona była we wszystkich swoich częściach tysiącami zakonników i zakonnic. W najbardziej niedostępnych okolicach, w najdzikszych pustkowiach tacy święci, jak Hilarion, Eutymiusz, Sabas, pozakładali laury i cenobia, w których dzień i noc rozbrzmiewała chwała Boża, a dokoła których skupiały się samotne celki anachoretów, oddanych umartwieniu i pokucie. Zdawało się w IV. i V. w., że Pa-

lestyna już nigdy nie zatraci swego charakteru chrześcijańskiego. Na stolicach biskupich zasiadali ludzie światli i bogobojni, szkoły teologiczne w Cezaryi i w Jeruzalem i po licznych klasztorach rozrzucały promienie światła na cały świat chrześcijański. Stamtąd wyszły owe pierwszorzędne gwiazdy, świecące na horyzoncie nauki kościelnej. św. Cyryl Jerozolimski, św Hieronim, św. Jan Damasceński i wielu, wielu innych. Ale niestety niezgoda i nienawiść zniszczyła to, co zbudowały miłość Boga i bliźniego. W łonie duchowieństwa, a zwłaszcza wśród zakonników powstają zgubne błędy racyonalistyczne, wypaczające szczytne tajemnice wiary świętej, i to, co miało być przedmiotem bogomyślnego rozważania, stało się dla tych zakonników jabłkiem niezgody. Herezye orygenistyczne, które tu powstały, a później monofizytyzm, menoteletyzm i inne błędy, podgryzły korzeń żywej wiary. To też kiedy się zjawił koło roku 630 pod murami Jerozolimy późniejszy kalif Omar, z łatwością cały kraj poddaje się pod panowanie Islamu, ale z nie mniejszą także niestety łatwością porzuciły ludy palestyńskie wiarę swych ojców, uginając się pod hasłem Mahometa: „La ilâhu, illa allâhi, wa Muhamed rasûl allahi“ ; nie masz Boga nad Allaha a Mohamed jest apostołem Allaha“. Gdzie panował krzyż rozwielmożniło się władztwo półksiężyca. Tak było przez kilka wieków. Już w w. IX. jednak oczy zachodu na nowo zwracają się ku Ziemi św., i znów zakony zachodnie, t. j. Benedyktyni próbują osiedlić się w Palestynie, aby tam rozbudzić na nowo życie chrześcijańskie. Zakonnicy ci wracają z Palestyny opowiadają w Europie o strasznym ucisku chrześcijan w Ziemi św. Coraz to większy wobec tego rośnie zapał wśród młodocianych ludów zachodnich, aby ten kraj tak ukochany, a tak święty, uwolnić z pod jarzma pohańców. Przez całe 200 lat płyną też na Wschód coraz nowe armie, pragnące wyrwać Ziemię św. z rąk Islamu. Rzeczywiście, kiedy dzisiaj patrzymy na te wielkie dzieła, jakie stworzyli Krzyżowcy, podziwiamy ich wielką wiarę i męstwo, lecz co nas najwięcej ujmuje za serce, to dzieła miłości chrześcijań-

skiej, jakie właśnie Krzyżowcy wskrzesili w Palestynie. Jeszcze po dziś dzień na każdym kroku napotykamy nie tylko miasta obronne i zamki warowne, ale przedewszystkiem tysiące ruin kościołów, klasztorów, szpitali, świadczących o tem, czem była dla Palestyny ta epoka wojen krzyżowych. Kiedy wspominamy te czasy, to krwawi się serce, że przelano wówczas tyle krwi, ale z drugiej strony znowu dzieła miłosierdzia, jakie spełniali ci odważni żołnierze, świadczą tylko o ich sercu pełnem wiary i miłości. W tych to właśnie czasach na ziemi palestyńskiej powstaje cały szereg nowych zakonów, które unieśmiertelniają w sobie ideę wojen krzyżowych. Zakony te stosownie do potrzeb czasu, podobnie jak cała epoka wojen krzyżowych, noszą na sobie podwójny charakter. Z jednej strony są rycerzami i szermierzami, broniąc do ostatniej kropelki krwi kraj zdobyty po tak wielkich trudach i ofiarach. Z drugiej jednak strony dzierżą też w ręce swej narzędzia miłosierdzia chrześcijańskiego, leczą chorych, nauczają nieumiejętnych, pocieszają smutnych; a swą wielką wiarą krzepią i podnoszą serce zwątpiałe do Boga, na którego cześć postawili tysiące wspaniałych świątyń, w których P. Bóg odbierał hołd, a lud pokrzepienie i otuchę w cierpieniu. — Wielką zatem krzywdę wyrządził niedawno książę Maksymilian Saski tej epoce krzyżowej, twierdzeniem, że wojny te miały się w znacznej mierze przyczynić do nienawiści, jaką pałają kościoły wschodnie do Rzymu. Być może, że dlatego P. Bog nie pobłogosławił trwale wysiłkom krzyżowców, że oni czasem zapominali o słowie Jezusowem: „Kto cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy“; ale działo się to wyjątkowo, ktokolwiek zaś jasno dzisiaj patrzy na ruiny owych wspaniałych kościołów, szpitali, hospicyów, klasztorów z ich kapitularzami i pięknemi salami bibliotecznemi, ten spostrzega, że miecz do ręki włożyła im twarda konieczność, wszędzie zaś pierwsze miejsce zajmowały dzieła kultury i miłości chrześcijańskiej. Jeżeli dzisiaj schizmatycy gniewają się na tę epokę, to chyba dlatego, że oni sami widzą swą niemoc, że nietylko nic podobnego nie stworzyli,

ale owszem jałowymi swymi sporami, zaprawionymi jadem nienawiści i prześladowania zniszczyli to, co poprzednie wieki zbudowały.

Zakony te rycerskie jednak nie przetrwały. Snać nie podobało się P. Bogu, że trzymały w ręku swem obok miłości chrystusowej także i miecz obronny. Krew przelana i ofiary poszły w zapomnienie, miasta krzyżowców, ich świątynie i klasztory rozsypały się w gruzy, albo zostały zamienione na meczety, i znów zapanował niepodzielnie w Ziemi św. półksiężyc, który w ponowną przepaść spychał już i tak zmarnowane narody tej nieszczęśliwej krainy. Jeden tylko zakon średniowieczny przetrwał na ziemi palestyńskiej, zakon św. Franciszka z Asyżu. Dlaczego? zapytamy się. Z pewnością i jedynie dlatego, że on właśnie w swej regule i życiu przedstawiał pełną ideę Jezusową. Nigdy nie używał miecza ludzkiego, a jedyną jego bronią było zaparcie siebie, był krzyż, była miłość Boża i miłość bliźniego. 600 lat strasznych prześladowań przetrwał ten zakon, ale dzięki temu, że nie odstąpił ani na krok od zasady P. Jezusa, nie tylko sam przetrwał, ale z nim także nie zgasła w Palestynie pochodnia wiary w sercu tej garstki chrześcijan, jaka tam pozostała.

Czem był wiek XIII. dla Palestyny, tem zdaje się być dla niej wiek XIX. Od r. 1846, to znaczy od czasu, kiedy Pius IX. na nowo wskrzesił patryarchat jerozolimski, zaczyna się nowy okres krucyat do Ziemi św. Zachód cały znowu przypomniał sobie te kraje, w których żył i działał P. Jezus, znów posyłał swe armie na wschód, ale już nie z bronią w ręku, ale z modlitwą na ustach i skruchą w sercu. Rok rocznie nawiedzają te miejsca św. tysiące pielgrzymów, którzy wracając do ojczyzny opowiadają o smutnem położeniu wiary chrześcijańskiej w tym kraju i rozbudzają zapał i zainteresowanie dla tych świętych pamiątek. Toteż płyną ciągle modlitwy do nieba o zmiłowanie, do kraju zaś tego płyną jałmużny, przy pomocy których miłosierdzie chrześcijańskie wykonuje dzieła daleko większe i trwalsze od dzieł

krzyżowców. Od r. 1846 zaczyna się powolny, ale ciągły, bezkrwawy podbój Ziemi św. Opustoszałe klasztory, które leżały setki lat w ruinach, i prastare kościoły podnoszą się z gruzów, po całym kraju tworzą się nowe gminy chrześcijańskie, a przy nich szkoły, szpitale, ochronki, tak samo jak było niegdyś w IV. i V. wieku. Zakon św. Franciszka już nie może podołać pracy, to też wszystkie inne Zgromadzenia zakonne na wyścigi spieszą tam, gdzie można zdziałać tyle dobrego dla Boga i bliźniego. Tem więcej, że ludy Syryi uprzykrzyły sobie twarde jarzmo półksiężyca, uprzykrzyły sobie również te ustawiczne spory religijne, jakie począwszy od V. w. jeszcze wśród nich pozostały w postaci rozmaitych sekt i schizm religijnych. Jedyne lekarstwo na tę niezgodę — to miłość chrześcijańska. To też słusznie powiedział pewien znakomity kaznodzieja [1]), że gdyby w r. 1204 był się zjawił w Konstantynopolu św. Wincenty, nie byłoby przyszło do tych strasznych klęsk, jakie spadły potem na krzyżowców, którzy wbrew woli papieża Innocentego III., zmazali się krwią chrześcijańską i zbezcześcili, powodowani nienawiścią i chciwością, świątynie Bogu poświęcone. To też Zgromadzenie nasze powinno sobie uważać to za wielką łaskę Bożą, że i jemu przypadło w udziale pracować tam w tych zwłaszcza czasach i że P. Bóg tej pracy tyle udzielał błogosławieństw; i że może naprawiać pewne błędy przodków.

Opisując działalność naszych obydwóch Zgromadzeń, widzieliśmy, że wszędzie znaleźli się na Wschodzie ludzie, którzy pełni Ducha Bożego i energii położyli trwałe fundamenta pod prace tak Konfratrów naszych jak i Sióstr Miło-

---

[1]) Na kongresie eucharystycznym w Reims 28 lipca 1894 powiedział uczony Barnabita ks. Tondini te słowa: „Le plus grand coupable de ce qui s'est passé en 1204 à Constantinople est St. Vincent de Paul qui eût du paraître avec ses admirables Soeurs de Charité longtemps avant la quatrième croisade Ses enfants ont du moins pris à tâche de réparer cette faute en s'employant à couvrir Constantinople d'hôpitaux, d'asiles de bienfaisance et de Soeurs de Charité. J'ai passé cinq mois au milieu d'eux à Galata et je crois que leur saint Fondateur s'y trouverait comme à St. Lazare à Paris, tellement ils en ont gardé l'esprit".

sierdzia. I tak w Konstantynopolu takimi opatrznościowemi osobami byli ks. ks. Brisson, Leleu, a przedewszystkiem ks. Eug. Boré. Nasza misya syryjska miała również w początkach swego istnienia na swojem czele znakomitego misyonarza, ks. Poussou, który później przed wyborem ks. Etienne na generalnego przełożonego naszego Zgromadzenia, sprawował rządy jako wikaryusz generalny. Wiemy także, że w Syryi rozwinęła nadzwyczaj błogą działalność Siostra Gélas, która już przedtem założyła prowincyę smyrneńską oraz ufundowała także i rozwinęła wszystkie dzieła Sióstr Miłosierdzia na Libanie. Kiedy więc nasz Najczcig. O. Generał, ks. A Fiat postanowił założyć dom Sióstr Miłosierdzia w Jeruzalem, znowu zrządziła Opatrzność, że wybór jego na pierwszą przełożoną tego domu padł na osobę nadzwyczajnej świątobliwości życia, a przytem niesłychanej energii i gorliwości niewiastę, na Siostrę Józefinę Sion. Istotnie przeglądając roczniki domów Sióstr Miłosierdzia w Palestynie musimy podziwiać te nadzwyczajne dary i łaski, które towarzyszyły wszystkim pracom Sióstr Miłosierdzia w Jeruzalem. Kiedy Siostra Sion wraz ze swemi towarzyszkami w maju r. 1886 przybyła do Jeruzalem, wówczas patryarcha jerozolimski ks. Wincenty Bracco przyjął je z pewnem zdziwieniem, co one właściwie tam robić będą, skoro już tak liczne Zgromadzenia znajdują się w Ziemi św. Rzeczywiście Siostry nasze same nie zdawały sobie zrazu sprawy, jakiem będzie ich nowe stanowisko. Zamieszkały w najętym domu, w dzielnicy ormiańskiej, i czekały wśród modlitwy kilka dni na dzieła, które im pozwoli spełniać sama Opatrzność. Potrzeba było rzeczywiście niewiasty wielkiej wiary i niemałego poświęcenia, ażeby na tak niepewnem polu nie stracić otuchy i nadziei. Wnet jednak dał im P. Bóg stosowne pole do rozwinięcia swej gorliwości. Zaczęły odwiedzać chorych i to nie tylko wśród chrześcijan, ale także wśród muzułmanów i żydów. P. Bóg tak błogosławił ich poświęcenie i pracę, że udało im się zaraz tą troskliwością wyrwać kilkoro dzieci znakomitych Turków z rąk śmierci. Potrzeba było rzeczywiście

wielkiej odwagi, by chodzić od domu do domu odwiedzając chorych; sam patryarcha ks. Bracco, dowiedziawszy się o tem, zdumiał się nad ich bohaterstwem, chciał im przynajmniej dać do pomocy swego kawasa, któryby ich strzegł i osłaniał. Odważne jednak córki św. Wincentego odmówiły tej pomocy, gdyż ufały, że strzedz ich będzie sam św. Wincenty, który im polecił pielęgnowanie i odwiedzanie chorych. Wkrótce zyskały sobie Siostry ogólny szacunek, a pewien znakomity szech w Jerozolimie, widząc skupienie i umartwienie Sióstr, podziwiał ich regułę, która ich prowadzi i pobudza do tak wielkiego poświęcenia, a zarazem daje im siłę do takiej cnoty. Miarą szacunku dla naszych Sióstr ze strony muzułmanow jest ten fakt, że wolno im każdej chwili wchodzić na plac świątyni jerozolimskiej i to bez żadnej przeszkody i trudności; a przecież wiadomo wszystkim, którzy byli w Jeruzalem, jak trudno dostać pozwolenie zwiedzenia miejsca, gdzie stała świątynia żydowska. Dalszem dziełem, jakie im P. Bóg zlecił, to opieka nad podrzutkami. Kiedy razu pewnego Siostry nasze prosiły na rozmyślaniu P. Boga, aby im pozwolił rozwinąć swą pracę, zapukał ktoś silnie do furty, a złożywszy na progu małe niemowlę na pół już pożarte przez psy zniknął w ciemnościach nocnych. Siostra Sion, wierna córka św. Wincentego, widziała w tem wyraźny palec Boży; to też nie tylko macierzyńską opieką otoczyła biedną dziecinę, ale uroczyście przyrzekła P. Bogu, że nikogo potrzebującego nie odeśle od progu swego domu, i owszem prosiła gorąco, aby jak najwięcej takich nieszczęśliwych dzieci posyłał jej P. Bóg. Jakie jej w tem towarzyszyło błogosławieństwo, to widać z ostatniego sprawozdania, jakie posłała w r. 1901 do francuskich „Misyi Katolickich“. Wykazuje tam, że przez 15 lat swej działalności w Jeruzalem przyjęła pod swą opiekę 486 dzieci opuszczonych.

W Jeruzalem do najnieszczęśliwszych należą z pewnością trędowaci. Zaraźliwa ta choroba nie tylko sama w sobie jest ogromnie ciężka i bolesna, gdyż trędowaty już za życia musi oglądać, jak ciało jego rozpada się w proch i zgniliznę,

Cała twarz stoczona przez wstrętne wrzody, oczy ustawicznie zalane łzą i przykrą ropą, gardło stoczone wrzodami wydaje z siebie ochrypły i bolesny głos. „Ana meskin ja haważa“—„o ja nieszczęśliwy, o panie!“ Los ich tem przykrzejszy, że są wyłączeni ze społeczeństwa ludzkiego; kosztem miasta wybudowano im baraki na stokach góry Oliwnej w dolinie Hinnom, gdzie prowadzą życie wspólne pod zwierzchnictwem jednego z pośród siebie. Nikt nie zaglądnie do nędznych baraków, gdzie giną wśród brudów i nieczystości. Macierzyńskie serce Siostry Sion całą swą miłość wylało na tych nieszczęśliwych. Kilka razy w tygodniu razem ze Siostrami odwiedzała ich w mieszkaniu ich, obmywała rany, opatrywała, odważnie a delikatnie odcinała stoczone części rąk i nóg; założyła u nich małą apteczkę i pokój do opatrunków, zaopatrzony w wszelkiego rodzaju lekarstwa. A kiedy pielgrzymi przybywali do Jeruzalem, to sama ich prowadziła do trędowatych i sprawiała im uczty bogate i przyodziewała w nowe ubrania. Ludność też muzułmańska widząc to poświęcenie nie nazywała Sióstr inaczej jak białemi gołębicami, które zleciały z Europy, by łagodzić wszelki ból i nędzę.

Nie tylko w Jeruzalem, ale w całej okolicy umiały one ocierać łzy nieszczęśliwych i biedaków. Odwiedzały 14 wiosek dookoła Jerozolimy, gdzie pootwierały prowizoryczne sale dla opatrunków. Jak opisuje Siostra Sion, codziennie z Jerozolimy i z dalszych nawet okolic przynoszono mnóstwo chorych, tak iż bez przesady może powiedzieć, że niema dnia, w którymby 500 przynajmniej chorych nie otrzymało w ich domu w Jeruzalem pomocy, opatrunków i lekarstw. To też szczupła ilość Sióstr nie mogła podołać tym rozlicznym pracom, trzeba więc było pomyśleć o rozszerzeniu maleńkiego domku. Przeniosła więc mieszkanie do innego domu leżącego w dzielnicy łacińskiej. W Jeruzalem bowiem wszystkie, nacye i religie mają swoje odrębne dzielnice. I tak Ormianie zajmują północno-zachodni kąt Jerozolimy i skupiają się dokoła wieczernika i domu Annasza i Kajfasza;

łacinnicy natomiast zajmują całą obszerną dzielnicę północno-wschodnią z bazyliką Grobu św. i z klasztorem Zbawiciela; muzułmanie rozsiedlili się na południowym wschodzie, w zagłębieniu, jakie tworzy szeroka dolina el Wad, dookoła murów dawnej świątyni zamieszkałej przez ubogą ludność żydowską.

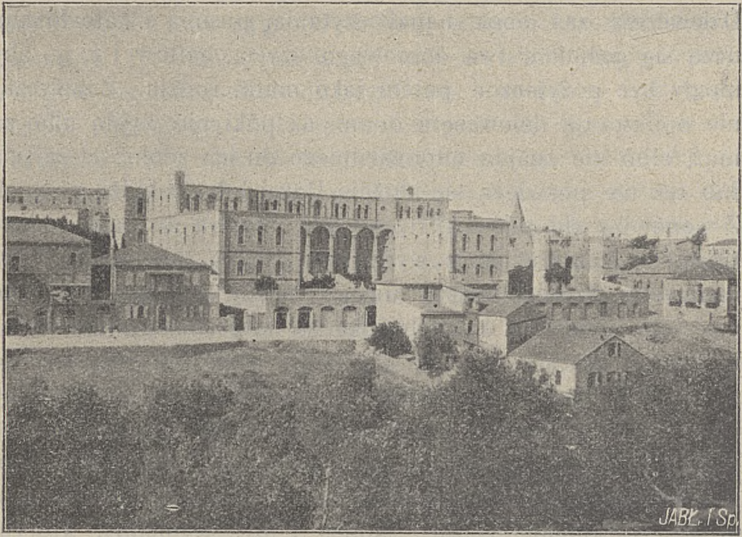
Pierwszem staraniem Siostry Sion w nowo założonym domu, niedaleko stacyi VIII. i w sąsiedztwie Grobu św., było otworzyć schronisko dla starców i szpital dla nieuleczalnie chorych, dla których nie było miejsca w licznych szpitalach znajdujących się w Jeruzalem. Ale i tu niebawem za ciasno było Siostrom z licznemi ich dziełami. Głównie jednak z powodu niezdrowego położenia domu musiała Siostra Sion pomyśleć o wybudowaniu nowego zakładu, i to gdzieś za miastem, gdzieby można i Siostry i wychowanki ochronić przed febrą, na którą wciąż zapadały. Jak sama opowiada, w cudowny prawie sposób nabyła obszerny plac opodal szosy jafijskiej, 10 minut na północ od murów Jerozolimy. W kupnie tego terytoryum znalazła bardzo wydatną pomoc w ówczesnym gubernatorze Jerozolimy, J. Exc. Reszad Pasza. Zakupno jednak placu to jeszcze nie wszystko. Siostra Sion myślała odrazu o założeniu wielkiego zakładu, w którymby mogła pomieścić wszystkie swe dzieła, oraz o zbudowaniu kościółka, gdzieby się gromadzić mogli na modlitwy wszyscy nieszczęśliwi pielęgnowani przez Siostry. Ale takiej budowy nie można w Turcyi zacząć bez firmanu sułtańskiego. To też ten sam pasza doradził Siostrze, aby wniosła natychmiast prośbę o takowy do sułtana, przyrzekając, że przy jego pomocy i wstawieniu otrzyma go w 3 miesiącach. Ktokolwiek zna nieco przynajmniej biurokratyzm turecki domyśla się, z jakiemi trudnościami połączone jest otrzymanie takiego firmanu, tem więcej, że budowle takie cieszą się niezmiernymi przywilejami: są wolne od podatku i posiadają pewnego rodzaju prawo eksterytoryalności. Aby więc otrzymać taki przywilej, potrzeba dużo protekcyi, a przedewszystkiem dużo pieniędzy na łapówki; mimo to sprawa taka ciągnie się jeszcze lata całe.

Stąd słusznie Siostra Sion otrzymawszy w trzech miesiącach żądany firman widzi w tem nadzwyczajny wpływ dobroci Bożej. Ale też w tym właśnie czasie oddały Siostry władzom tureckim niezmiernie wielkie usługi. Przyjęły bowiem pod swój zarząd świeżo ufundowany szpital miejski, gdzie z niestrudzoną gorliwością poświęcają się pielęgnowaniu chorych. Osoba Siostry Sion jakiś dziwny urok wywierała na wszystkich w Jerozolimie. Kiedy oddawano szpital miejski w zarząd Siostrom, wówczas wielki rabbi jerozolimski oświadczył przed wszystkimi dygnitarzami, że największą ozdobą szpitala to Siostry Miłosierdzia, na których pracę od kilku lat patrzał z uwielbieniem.

Od roku też 1891 aż do swej śmierci w 1903 pracowała Siostra Sion z niestrudzoną gorliwością nad wykończeniem wspaniałego gmachu, który dzisiaj należy do szeregu najmonumentalniejszych budowli w Jeruzalem. Sama doglądała prac, więc też stosunkowo dość tanio wzniosła dom św. Wincentego, który skupia w sobie prawie całą akcyę miłosierdzia chrześcijańskiego w Jeruzalem. Wielkiej potrzeba było wiary i ufności w Opatrzność, by się podjąć budowy tak kosztownej i na tak szeroką zakreślonej skalę, na wspaniałej terasie, której część musiano wzmocnić olbrzymiemi substrykcyami, gdyż teren w tem miejscu gwałtownie opada ku kotlinie Hinnon, która odtąd szybko zaczyna się obniżać Miejsce to, na którem wznosi się dom Sióstr ma także pewne znaczenie historyczne. 200 metrów opodal ich domu znajduje się olbrzymi staw, zwany birket Mammillah. Staw zbudowany bardzo starannie gromadził niegdyś wody ze źródła znajdującego się na jego dnie, skąd kanałem rozprowadzano ją po okolicy celem użyźmania Tu niektórzy archeolodzy szukają owego pola garbarskiego, na którym spotkał się król Achaz z prorokiem Izajaszem wtenczas, gdy wzmacniał mury miasta wobec gotującej się wojny ze Syryą, i tu wypowiedział wówczas prorok owe pamiętne słowa: „Oto Panna pocznie i porodzi Syna i nazowią imię jego Emanuel“. Wśród nieszczęść, jakie gromadziły się wówczas nad nie-

szczęśliwą Jerozolimą, ta właśnie dziewica oglądana w duchu proroczem miała dodać otuchy garstce wiernych Bogu. Dlatego szczęśliwemi czują się Siostry nasze, że i one przez swe uczynki miłosierdzia ocierają łzy biedakom.

Dom Sióstr jest gmachem o trzech potężnych skrzydłach Główne skrzydło ma prawie 60 metrów długości, jest trzypiętrowe, gdyż wspaniałe podziemia wobec suchości kli-



Dom SS. Miłosierdzia w Jeruzalem.

matu nadają się znakomicie na mieszkania. Dwa inne skrzydła są nieco niższe i obejmują przepiękną terasę, z której rozciąga się widok na urocze przeciwległe wzgórza. Danem było Siostrze Sion wykończyć cały ten gmach jeszcze przed swą śmiercią, ale kościoła nie zdołała wybudować, uczyniła to dopiero w ostatnich 2 latach jej siostra, Wincenta Sion, która po niej objęła zarząd tego domu

Dom Sióstr w Jeruzalem obejmuje następujące dzieła. Pierwsze miejsce zajmuje żłóbek. Tutaj mieszczą się dzieci aż do 6 roku życia. Nigdy Siostra Sion nie chciała pozwolić,

by podrzutków wychowywano poza domem. Postarała się więc o troskliwe mamki dla tych niemowląt, które pod okiem Sióstr wychowują i karmią te opuszczone istoty. — Drugi oddział stanowią starsze sieroty od 6—15 roku życia, osobno chłopcy, osobno dziewczęta. Liczba ich dochodzi do 80; otrzymują troskliwe wychowanie, a także naukę języka arabskiego, francuskiego, a nadto już w domu zaprawiają się do rzemiosł, jak szewstwo, stolarstwo, tkactwo i piekarstwo. Dziewczęta zaś obok nauki czytania, pisania i katechizmu, uczą się gospodarstwa domowego, szycia, haftów i t. p., aby mogły być pożyteczne potem jako matki rodzin. Zazwyczaj nie opuszczają dziewczęta domu, aż póki nie wyjdą albo za mąż, albo nie znajdą odpowiedniego do ich zdolności zajęcia lub też nie poświęcą się służbie Bożej lub obsłudze ubogich Z pomiędzy chłopców kilku wysłała Siostra do naszego zakładu w Anturze. gdzie wychowują się na przyszłych Misyonarzy. — Szczególniejszą uwagę należy poświęcić ślepym dzieciom i starcom. których pokaźna ilość znajduje się w zakładzie; liczba ich dochodzi do 40. Na wschodzie rzeczywiście spotykamy bardzo dużo takich nieszczęśliwych. Znajdujemy czasem całe rodziny, które postradały wzrok. Znaną jest rodzina w Jerozolimie, złożona z 8 osób, które posiadały tylko czworo zdrowych oczu. Głównym powodem tej choroby jest zwłaszcza klimat. Rażące słońce i pył wapienny, którym przesycone jest powietrze, jest głównem jej źródłem. Do tego przychodzi jeszcze brud i nieczystość, wśród których wychowują się maleńkie dzieci. Matka arabska kocha nadzwyczaj swe dziatki, ale nie troszczy się bardzo o ich czystość zewnętrzną. Owszem im piękniejsze dziecko, w tym większym chowa je nieporządku, by je ustrzedz przed złem okiem, jak powiadają; niczego tak się nie obawia, jak złego uroku, któryby mógł ktoś rzucić nań. Dlatego chowają je w ukryciu przed wzrokiem ludzkim, a boją się zwłaszcza, by się ktoś nieproszony nie zainteresował pięknością tychże i tak ich nie urzekł. To też zdarza się, że dzieci już w drugim i trzecim roku tracą zdolność widzenia.

Siostra Sion starała się na wszelki sposób złagodzić los tych nieszczęśliwych; zrozumiała jednak, że dotkliwie jeszcze dokucza im ciemnota duchowa. Postarała się więc dla nich o wykształconą specyalnie nauczycielkę, która za pomocą metody Braille'a uczy ich nauki czytania i pisania. Rzeczywiście trzeba widzieć szczęście tych biednych, gdy z całą łatwością odczytują swoje dziurkowane teksty, i sami sobie nowe książki sporządzają. Przytem pielęgnują z prawdziwem zamiłowaniem muzykę, do której okazują szczególniejszą zdolność. Również trudnią się wyrobem koszyków, krzeseł trzcinowych, łańcuszków do zegarków, koronek, a dziewczęta znowu wytwarzają dużo pięknych haftów. Gorszy jest los starszych, którzy już nie mają ani ochoty ani zdolności do nauki, jednak i oni cieszą się modlitwą i opieką Sióstr. Co może poświęcenie chrześcijańskie, tego dowodem niech będzie sierota bez rąk, który tu nauczył się tak doskonale władać nogami, że nie tylko sam sobie usługuje, ale niemi pisze i inne przytem prace wykonuje.

Z krótkiego tego sprawozdania widzimy, ile błogosławieństw stały się źródłem wzniesiony w Jeruzalem dom pod wezwaniem św. Wincentego. Mówiąc o sprawie materyalnej tego domu musimy także tutaj podkreślić wzorowe usposobienie, jakiem sa ożywieni wszyscy jego członkowie. Siostra Sion już za życia cieszyła się opinią osoby bardzo świątobliwej. Rzeczywiście w życiu jej zdarzyły się fakta tak nadzwyczajne, że nie można ich inaczej nazwać jak cudownymi. Sama niczego nie szukała jak rozszerzenia chwały Bożej, i wszyscy, co ją bliżej znali, wiedzą, ile ona swoją cnotą naprowadziła na dobrą drogę, a ilu błądzących nawróciła do światła wiary. To też już w trzy lata po swej śmierci doczekała się biografa w osobie ks. Kanonika Legrand, kanclerza konsystorza patryarchalnego w Jeruzalem, który z nadzwyczajnym pietyzmem nakreślił jej bogobojny żywot. Stąd skupiali się dokoła jej domu nie tylko potrzebujący, ale także ludzie światli, zakonnicy i duchowni często u niej szukali rady i pociechy w swych trudnościach.

Jeszcze napomknę o jednem dziele, jakie stworzyła Siostra Sion przy swym domu w Jeruzalem. Zaraz w początkach swej fundacyi założyła Stowarzyszenie P. P. Ekonomek, do którego zapisały się wszystkie panny lepszych domów w mieście, a nie tylko katoliczki, ale i muzułmanki dopraszały się o przyjęcie, czego Siostra Sion nigdy nie odmawiała. Zbierają się regularnie co wtorek po południu, spędzają kilka godzin na pracy i budującej lekturze, a praca ich jest tak wydatna, że co roku 500 ubogich otrzymuje od Stowarzyszenia odzież całkowitą.

Dom w Jeruzalem stał się także matką kilku innych fundacyi w Palestynie. Zaraz w rok po przybyciu do Palestyny otworzyła Siostra Sion nowy dom w Betleem 1887. Fundacya ta do dziś dnia pięknie się rozwinęła. We wspaniałym gmachu o czterech skrzydłach mieszczą się podobne zupełnie dzieła, jak u św. Wincentego w Jeruzalem. Również z Betleem w każdym tygodniu odwiedzają Siostry wszystkie wioski dook ła, aby pielęgnować chorych i oddają im wszelakie usługi. Zapuszczają się aż do Hebronu, gdzie tamtejsza ludność muzułmańska otacza je nadzwyczajnym szacunkiem. Nawet je zdyspensowano od noszenia welonu, choć wogóle ludność w Hebronie nie może znieść na ulicy widoku niewiasty nie mającej grubej zasłony na twarzy. Podobne zupełnie fundacye powstały staraniem Siostry Sion w latach 1898 i 1899, w Nazaret i Hajfa pod górą Karmel. Przy obydwu tych domach znajduje się szpital na kilkadziesiąt łóżek, ochronki dla dzieci, apteka i t. zw. dispensaire, gdzie chorzy otrzymują bezpłatnie lekarstwa i opatrunek. Z dwu tych posterunków udają się także co dzień na wycieczkę miłosierną po okolicy, niosąc wszędzie pociechę i pomoc.

Ks. W. Michalski.

Cudowny Obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego

w kościele Księży Misyonarzy w Milatynie Nowym.

V.

Sprowadzenie OO. Karmelitów Bosych. Dawny Klasztor. Kościółek pod wezwaniem św. Krzyża i św. Mikołaja Bpa.

Erem św. Krzyża stał przez pewien czas pustką, po opuszczeniu go przez OO. Kamedułów, którzy niezawodnie wrócili na Bielany. Modły zakonników więc zastąpiły rozhowory wiekowych dębów, buków i grabów; miasto dzwonka klasztornego, rozlegało się po przestronnej puszczy krakanie wron, kruków i gawronów, które od niepamiętnych czasów ukochały tak to ustronie, że dzisiaj jeszcze, po upływie wieków, okalają w tysiącznych stadach Milatyn, obrawszy sobie za stałą siedzibę sąsiedni lasek, zwany Zwierzyńcem. Z tego też niewątpliwie powodu, nazwano od dawien dawna część grunków, a później także zabudowań przytykających do Zwierzyńca, „Woronówką".

Po nieudałej próbie stworzenia w Milatynie eremu, p. Teresa Łączyńska postanowiła fundować w tem miejscu klasztor dla zakonników surowej reguły, podobnie, jak to uczynił jej małżonek Jerzy, zbudowawszy w Kutkorzu, zwanym wówczas Maryanowem, klasztor dla OO. Kapucynów w roku 1719. [1]) — W tych czasach nie trudno było znaleźć u nas w Polsce tego rodzaju zgromadzenia zakonne. Sama

---

[1]) W Kutkorzu u OO. Kapucynów przechowuje się dotąd jeszcze dobrze utrzymany portret Jerzego Łączyńskiego i jego małżonki Teresy, fundatorki klasztoru Milatyńskiego.

np. Galicya liczyła wtedy przeszło 200 klasztorów męskich. Poblizki Lwów, zwany „Urbs monachorum“, mieścił w swych murach prawie wszystkie odcienie zakonników. [1]) Pobożnej fundatorce mogło się więc tylko o to rozchodzić, który zakon zaszczycić swem zaufaniem. Los padł na OO. Karmelitów Bosych ścisłej obserwancyi, których sprowadzono do Polski za Zygmunta III. około r. 1610. [2])

W r. 1745, a może dopiero w r. 1746 przybyło kilku synów św. Teresy do Milatyna na stałe; odprawiali nabożeństwo w kościółku, pod wezwaniem św. Krzyża i św. Mikołaja Bpa. Nową tę fundacyę nazwali OO. Karmelici polscy rezydencyą Milatyńską.

Przed przybyciem zakonników zbudowała dla nich fundatorka obszerny klasztor. Odkładając szczegółowy jego opis na później, kiedy będzie mowa o kasacie, wspomnę o nim tylko tyle, że był to parterowy klasztor murowany o 21 celach, czy jednak kiedykolwiek tylu zakonników razem mieszkało, trudno dociec.

Z rządowego aktu z r. 1779: „Verzeichniss jener Klöster, welche eine eigene Provinz nicht bestellen können, sondern einer Provinz in den deutschen Erblanden zuzutheilen kommen“ [3]), dowiadujemy się, że w Milatyńskiej rezydencyi przebywało jedenastu zakonników. W roku 1785 dnia 15 czerwca już tylko czterech OO. Karmelitów podpisało akt cesyi, mocą którego przelali na gminę milatyńską swe prawa do korzystania ze wszystkich dóbr i przywilejow, nadanych tutejszemu klasztorowi. [4])

Z tegoby wynikało, że liczba członków rezydencyi Milatyńskiej nie była stała i widocznie przez fundatorkę nie była także określona. Dotacya była jednak znaczna, jak zo-

---

[1]) Dr. Papée: Historya miasta Lwowa w zarysie.

[2]) Ks. Benjamin, kapucyn: Rys historyczny Zgrom. Zakonnych obojei płci.

[3]) Chotkowski: Hist. kościoła w Galicyi t. II.

[4]) Status. Eccl. Milatinensis t. I.

baczymy później, posiadali Karmelici w Milatynie znaczny obszar ziemi, lasy, łąki i stawy, prócz tego fundatorka zapisała 33 tys. złp. [1])

Początkowo nie mieli OO. Karmelici tutaj pracy prawie żadnej, bo sąsiednie wioski należały już to do parafii w Busku, jużto do Żelechowa W samym Milatynie nie było jeszcze, prócz służby klasztornej, żadnej ludności. Zaraz z początkiem osiedlenia się rozpoczęli OO. Karmelici budować zabudowania folwarczne. Stanęła więc cegielnia, obory



Austerya w Milatynie Nowym.

browar, gorzelnia, miodosytnia, młyn, stajnia na 54 koni i liczne oficyny. Z tego wszystkiego zachowała się część tylko oficyn, t. j. dom, gdzie obecnie mieszka ostatni proboszcz Milatyński, ks. Justyn Mielechowicz; dwa skrzydła obecnego domu księży Misyonarzy i całkowicie zachowana stajnia: dzisiejszy zajazd w Milatynie, zwany austeryą.

---

[1]) Nowodworski: Encyklop. kośc.

Do budowy potrzebowali OO. Karmelici rąk. Z rozmaitych więc stron napływali do klasztoru robotnicy i rzemieślnicy, którzy mieszkali w domach, zbudowanych na terytoryum klasztornem, mieszkali więc na fundacyi. Z niej wytworzyła się zwolna dzisiej-za gmina [1])

Obok tych prac, nie zapominali OO. Karmelici z rezydencyi Milatyńskiej o obowiązkach sąsiedzkich. Wspierali więc w pierwszym rzędzie sąsiednich polskich duszpasterzy, zastępując ich niejednokrotnie w pracy. Żyli także w ścisłych stosunkach z sąsiednimi klasztorami, zwłaszcza z Kapucynami w Kutkorzu i z OO. Augustyanami w Witkowie Nowym, których w r. 1675 ufundowali hojnie Wacław i Anna z Łaszczów Lanckorońscy. Brali udział w częstych dysputach filozoficzno-teologicznych w Podkamieniu, w których uczestniczyli obok uczonych OO. Dominikanów, Jezuici z Krzemieńca, Bazylianie z Poczajowa, Trynitarze z Beresteczka, Franciszkanie z Kamieńca Podolskiego, Bernardyni ze Zbaraża i t. d. [2])

Wreszcie, jako zakon żebrzący, jeździli OO. Karmelici po kweście i przebywali po różnych dworach szlacheckich, obsługując, jako kapelani nadworni kaplice. Tak np. O. Joachim od św. Teresy przebywał jako kapelan u p. Sobieszczańskich w Nowym stawie, w czasach, kiedy tamże począł się cudami wsławiać cudowny obraz Pana Jezusa, znajdujący się dzisiaj w Milatynie.

Powiedziałem wyżej, że OO. Karmelici odbywali nabożeństwo w kościółku, pod wezwaniem św. Krzyża i św. Mikołaja Biskupa. [3]) Trudno określić bliżej czas, w którym został on zbudowany. Powszechnie utrzymują, że zbudowała go p. Teresa Łączyńska, po ustąpieniu OO. Kamedułów. Być może, że to przypuszczenie jest zgodne z prawdą;

---

[1]) Cf. Poprzedni zeszyt Roczników.

[2]) Ks. Żukiewicz: Dzieje cudownego obrazu w Podkamieniu.

[3]) Encyklopedya kościelna ks. Biskupa Nowodworskiego t. IX. p. 398; t. X. p. 50.

dziwnem jednak mi się to zdaje, ażeby w przeciągu lat 50, jak zobaczymy później, takiemu uległ zniszczeniu, że trzeba było pomyśleć około r. 1771 o budowie nowej, dzisiejszej świątyni. Raczej możnaby przypuścić, że kościółek ten był już za pobytu OO. Kamedułów w Milatynie zbudowany. Tem prawdopodobniejsze zdaje mi się moje przypuszczenie, że wedle tradycyi wznosił się on na pagórku, położonym na zachód od obecnej rezydencyi naszej. Tam także bielały się wśród lasu domki OO Kamedułów.

Był to kościółek nie wielki, mogący pomieścić zaledwie 200 osób; zbudowany był z cegły. Komisarze kasacyjni tak go opisują w akcie z r. 1788 „Consignatio mobilium, quae restant pro Capella locali Milatinensi, die 19 Septembris 1788 anno: Ecclesia est parva ex muris claustralibus confecta, in qua 200 personae possunt interteneri, cum tecto ex tegulis ligneis iam desolutis. Suffitum est ligneum ex asseribus, fenestrae octo, quinque cum cratibus ferreis et tres cum cratibus ligneis. Atrium ex ligno cum duabus valvis; valvae ad introitum ecclesiae cum clausura ferrea. Pavimentum ex lateribus coctis. In atrio sunt duo valvae duplicatae cum cardinibus ferreis, duae fenestrae in ligno compactae et scala ad chorum". [1])

Ze słów komisyi kasacyjnej: „ecclesia ex muris claustralibus confecta", możnaby może wnioskować, że do budowy kościółka użyto materyału ze starego klasztoru po OO. Kamedułach, zdaje się jednak, że temi słowy chciała raczej powiedzieć, że kościółek ten był jedną z integralnych części klasztornych zabudowań OO. Karmelitów, bo z innego aktu tejże samej komisyi, z dnia 5 października 1788 r. „Wirtschafts-Inventarium über das zu Milatin Złoczower Kreises eingezogene unbesuchte Karmeliten-Kloster etc." [2], dowiadujemy się, że kościółek ten połączony był z klasztorem tak, że wprost kurytarzem doń się wchodziło, a nawet przylega-

---

[1]) Status Eccl. Milat. t. I., nr. 11.

[2]) Ibid. t. I. nr. 51.

jąca do kościółka cela była skarbcem, a druga zakrystyą. Drugie wejście prowadziło przez babiniec, w którym znajdowały się dwa okna i drewniane schody na chór, spoczywające na dwóch drewnianych filarach. Na chórze był niewielki organ. Z czasem założyli OO Karmelici przy tym kościółku kapelę, złożoną z kilkunastu instrumentów, która, jak świadczą utwory muzyczne, dotąd w części przechowane, musiała grać bardzo wprawnie. Ks. Warmuziński, późniejszy proboszcz Milatyński, zebrał te utwory. [1]) Ze spisu jego dowiadujemy się, że pozostało na instrumenta 37 Mszy św., 39 litanii, 41 Offertoryów i Mottetów, 21 Nieszpór, 11 Symfonii i t. d. i to najrozmaitszych autorów w układzie na organ, instrumenta i śpiew chórowy. Orkiestra kościelna z Milatyna miała takie wzięcie, że ustawicznie była brana na zabawy do sąsiednich dworów szlacheckich. Córki obywateli przy jej odgłosie śpiewały po dworach i bardzo często w kościele Milatyńskim. Po kasacie muzyka poszła w rozsypkę, a choć próbowano później kilkakrotnie orkiestrę kościelną tutaj zorganizować, zabiegi te nie zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem.

Strop kościółka obity był deskami, a podłoga była wyłożona paloną cegłą. Ze względu na małe jego rozmiary, mieściły się w nim tylko trzy ołtarze drewniane. Ołtarz główny poświęcony był czci św. Mikołaja Biskupa, a od roku 1747 umieszczono w nim cudowny obraz Pana Jezusa. Tu znajdowało się też między pozłacanymi filarami, niewielkie, pozłacane tabernaculum, ozdobione dwiema pozłacanemi kolumnami. Jeden boczny ołtarz poświęcony był czci Najśw. Maryi Panny. W środku stała statua Bogarodzicy. Drugi boczny ołtarz poświęcony był czci św. Józefa i na nim również umieszczono statuę tego świętego.

O. Benigny, prowincyał OO. Karmelitów Bosych, w czasie swego pobytu w Rzymie, otrzymał dnia 16 maja 1767 r.

---

[1]) Stat. Eccl. Milat., t. II. Cały spis obejmuje 233 kompozycyi, a 17 instrumentów.

od kardynała Marka Antoniego Colonna całkowite relikwie wraz z krwią, zebraną w szklane naczynie, św. Benigna męczennika, wyjęte z najstarszych katakomb rzymskich św. Pryscylli. Podczas podróży w roku następnym dostał znowu 7 września podobne relikwie św. Eliusza męczennika, wyjęte z katakomb św. Cyryaka, obok bazyliki św. Wawrzyńca fuori le mura. Ponieważ powyższe relikwie oddane zostały O. Benignemu do wolnej dyspozycyi, jak wynika z aktu donacyi ofiarodawcy, przeto przeznaczył je do kościółka swych braci w Milatynie. W roku następnym, t. j. 1769 prawdopodobnie, po skończonym terminie swego prowincyalstwa osiada sam w Milatynie, jako wikary tutejszej rezydencyi, a jako protonatoryusz apostolski, bada doznawane cuda przed tutejszym cudownym obrazem Pana Jezusa, skrzętnie je spisuje w książce, p. t.: Iesus, Maria, Ioseph: Liber miraculorm patratorum ad imaginem thaumaturgam crucifixi D. N. I. Chti. in ecclesia Milatinensi, conscriptus A. D. 1769.— Księgę tę sam założył i w niej przeszło 50 cudownych zdarzeń, z powołaniem się na naocznych świadków, spisał. [1])

Relikwie św. męczenników, o których wyżej wspomniałem, wprzód, nim dostały się do Milatyna, były badane przez specyalną komisyę konsystoryalną i złożone zostały w odpowiednich trumienkach, tak, że skutkiem wojen, morowej zarazy i innych klęsk, dopiero w r. 1771 przywiezione zostały do Milatyna, gdzie umieszczono je na dwóch bocznych ołtarzach wyżej opisanych. Te relikwie wraz z dokumentami znajdują się po dziś dzień w obecnym Milatyńskim kościele i są umieszczone na dwóch becznych ołtarzach; nikt jednak na nie nie zwraca uwagi, nikt nie ma tutaj do nich szczególniejszego nabożeństwa, a przecież należą one do najprzedniejszych świętości tutejszego kościoła.

---

[1]) Powyższa księga w dobrym zupełnie stanie dotąd się w Milatynie przechowuje w archiwum, które księża Misyonarze założyli.

Do powyższych szczegółów, odnoszących się do pierwotnego kościółka w Milatynie, już nie wiele można dodać. Akt kasacyjný wspomina tylko jeszcze, że była w nim skromna ambona, baldachim jedwabny ze złotymi frenzlami, kilka obrazów rozwieszonych po ścianach, cztery konfesyonały i sześć ławek.

Najlepiej była zakrysta zaopatrzona. Mieściła się ona obok kościoła już w obrębie klasztoru, zaopatrzona w dwa okna zakratowane żelaznemi sztabami. Przybory kościelne były przechowywane w szafach odpowiednich, nad któremi czujnie czuwał kościelny, którego ubikacya przytykała do zakrystyi. [1]) Trudno dzisiaj o szczegóły, odnoszące się do bogatych szat historycznych i cennych naczyń kościelnych, w które, z biegiem czasu, kościółek Milatyński został zaopatrzony, bo OO. Karmelici Bosi przed kasatą, którą doskonale przeczuwali, to, co było droższe i cenniejsze wywieźli za granicę, do Polski, prawdopodobnie do Berdyczowa. [2])

---

[1]) Status Eccl. Milatinensis t. I. „Wirtschafts - Inventarium über das zu Milatin Złoczower Kreises eingezogene Karmeliten Kloster etc.“

[2]) OO. Karmelici Bosi z Milatyna pozostawali stale w ścisłym kontakcie z braćmi swymi w Berdyczowie. Obecny kościół w Milatynie jest podobno zbudowany według planu kościoła Karmelickiego w Berdyczowie. Znana jest u nas powszechnie Matka Boska Berdyczowska, cudami słynąca po dziś dzień, mało jednak kto wie, że w tymże kościele OO. Karmelitów słynął także cudami obraz Pana Jezusa Milatyńskiego. W książce z r. 1795, p. t.: Wsławienie obrazu Pana Jezusa ukrzyżowanego, łaskami i cudami słynącego wszędzie.... znajdujemy o początku tego obrazu następujące szczegóły: „Roku Pańskiego 1768, dnia 23 czerwca podczas wielkiej inkursyi hajdamackiej na Ukrainie, gdzie księży świeckich Kościoła rzymskiego i zakonników wraz z kapłanami Unitami, także szlachtę polską obojej płci zabijano, a nawet małe przy piersiach dziatki; matki brzemienne pruto, płód z nich dobywano i zabijano, a potem nazad zaszywano; — niektórym mocno wypraszającym się, na swoje obrządki chrzcić kazano i już przechrzczonych zabijano. Konie w aparaty kościelne ubierano, najśw. Hostye nogami deptano, słowem trudno wszystkich tyranii wyrazić. Wtenczas szlachta obojej płci, gdzie którzy mogli, wyjeżdżali i uciekali z duszami. Tak też W. Imć. Pani Marcyanna Zwolińska, Miecznikowa Kijowska, z dziećmi swemi i całym dworem uchodząc, wyje-

Ze strzępów, które się dotąd w Milatynie przechowały, widać, że kościółek Milatyński posiadał prześliczne i drogocenne szaty liturgiczne, jak złotolite ornaty, misterne hafty, sztychy japońskie i chińskie, ornaty z pasów słuckich, ornaty wysadzane orderami polskimi, które panowie polscy, jako wota składali u stóp cudownego obrazu i t. d. Dużo z tych rzecz zmarniało, już to skutkiem tego, że komisarze ze Starostwa przy oddawaniu temporaliów, kazali rzeczy te palić, — już to, dzięki niedbalstwu duszpasterzy, służba kościelna robiła ze starym inwentarzem, co się jej podobało. Nie tak dawne to np. czasy, jak jeden z kościelnych naszych zbił sobie dla kościoła Milatyńskiego dwa ołtarzyki. Ponieważ mu potrzeba było antypedyi, wziął więc stare, prześliczne kapy i ornaty, pociął i poszył, i t. zw. bretnaglami obił ramy. Dzisiaj, to wszystko, co zostało, chociaż uległo zniszczeniu lub zostało na inny cel obrócone, skrzętnie zostało zębrane i kosztem wielkim, sporządzono z tego około tuzina prześlicznych ornatów, które stanowią ozdobę Milatyńskiej zakrystyi.

Ks. Piotr Brukwicki.

---

chała z Ukrainy na Wołyń, wziąwszy z sobą obraz Pana Jezusa Milatyńskiego na płótnie malowany, ktoremu się poleciła z wielką ufnością Tegoż Pana Jezusa obraz mając w ręku swym w pojeździe, a potem oddawszy go synowi swemu Markowi, który w rękach swoich piastując ten obraz, skłoniwszy nań głowę zasnął. Ledwo pół godziny upłynęło, a Pan Jezus w tym obrazku Milatyńskim, krwią się żywą zaczął pocić, tak dalece, że baranek u czapki Marka krwią znacznie się zafarbował. Wszyscy przytomni widzieli potem, jak z najświętszej Twarzy, z całego lewego ramienia i z Serca znaczna ilość krwi spływała Obraz ten zaraz do Berdyczowa, do konwentu OO. Karmelitów odwieziono, gdzie się konserwuje i gdzie można na nim widzieć wyraźnie znaki żywej krwi".

Wszystkie te szczegóły ze wszystkimi obecnymi zeznał także O. Hubert od Nawiedzenia Najśw. Maryi Panny, będący obecny tej uciekającej kompanii. — Od tego czasu, kopia ta cudownego obrazu Pana Jezusa Milatyńskiego nabrała wielkiego rozgłosu na Wołyniu. Czy dzisiaj tam jeszcze istnieje po zniesieniu OO. Karmelitów, nie wiadomo.

KRONIKA.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków. — *Dom Centralny Sióstr Miłosierdzia.* — Dwa lata temu podaliśmy czytelnikom „Roczników“ opis Jubileuszu „Domu Centralnego“, obecnie chcemy ich zapoznać z nowemi powstałemi w nim działami miłosierdzia.

Można powiedzieć, że tak jubileusz Pań Miłosierdzia, jak i jubileusz, Domu Centralnego, stanowi epokę jakiegoś odrodzenia i rozbudzenia działalności żywszej, gorętszej na polu miłosierdzia,

Towarzystwo Pań, pomnożyło się znacznie w liczbę członków, działalność swą lepiej zorganizowało. Panie odczuły żywo potrzebę osobistego poświęcenia się w niesieniu pomocy ubogim chorym. Lecz ta iskra gorliwości czynnej, która z serca św. Wincentego wypada i rozbudza miłość i miłosierdzie, najwyższym płomieniem wybuchła i obfite owoce wydała w dziełach niestrudzonej sekcyi Pań Miłosierdzia w Stowarzyszeniu Panien Ekonomek. Dotąd zajmowały się one tylko szyciem ubrań, dla ubogich odwiedzanych przez Panie, lecz w r. 1909 kilka panienek powzięło myśl ulepszenia, istniejącego już od 50-ciu lat ambulatoryum, w Domu Centralnym, i urządzenia go według wszelkich obecnych wymagań lekarskich.

Najczcigodniejsza Siostra Wizytatorka dopomogła do urzeczywistnienia tego tak pięknego zamiaru, ofiarowując na ten cel dwa pokoje. Zebrały się więc gorliwie panienki do dzieła kwestowały i zebrawszy 2.000 koron, urządziły bardzo ładne ambulatoryum. Jeden z lekarzy krakowskich chirurg ofiarował

bezpłatnie swe usługi, żywszem więc tępem rozpoczęto więc opatrywać liczne rzesze ubogich!

Rozrzewniający to widok, spoglądać na te młode, a pełne poświęcenia osoby, uwijające się około opatrywania najwstrętniejszych ran, a czynią to z taką ochotą, miłą uprzejmością, codziennie i wytrwale; pomimo zabaw karnawałowych, nietylko rany opatrując, ale po opatrunkach wszystko sprzątają same, naczynia i narzędzia czyszczą.

Czterdzieści do pięćdziesięciu opatrunków dziennie, nie zaspokoiły gorliwości Panien Ekonomek, i trudy utrzymania ambulatoryum nie zniechęciły, poczęły marzyć o sali szpitalnej, własnej, dla chorych opatrywanych w ambulatoryum!

Zdawały się te marzenia nie możebnemi do zamienienia w czyn z powodu braku miejsca i t. p., lecz medalik „cudowny" otworzył im drzwi lokalu upragnionego, przybiły go nad drzwiami tego pokoju z gorącą ufnością, że Najświętsza Panna zamieni go na szpitalik.

Dnia 2-go lutego 1911 r. odbyło się otwarcie szpitalika, o sześciu łóżkach i wygodną łazienką. Dzień ten pamiątkowy dla Najczcigodniejszej Siostry Wizytatorki, bo to dzień 50-cio letniego jubileuszu Jej powołania. Panny Ekonomki wysłuchawszy w kościele Domu Centralnego Mszy św., którą zakupiły na intencyę Najczcigodniejszej Siostry Wizytatorki po złożeniu Jej życzeń, zaprowadziły Ją do świeżo urządzonej sali, w której leżała już jedna chora.

Co to było radości przy urządzeniu tego upragnionego szpitalika, z jakim zapałem panienki same słały łóżka, czyściły podłogi, ustawiały sprzęt każdy, a potem witały pierwszą chorą 14-to letnią dziewczynkę, która nazajutrz przystąpiła do pierwszej Komunii św., przygotowana poprzednio przez jednę z panienek, która daleko za miasto chodziła do ubogiej chatki, gdzie ta biedna dziewczynka leżała, od siedmiu już lat z łóżka nie wstając.

O jak mile musiał św. Wincenty spoglądać i błogosławić, tak prawdziwie głęboko zrozumianemu miłosierdziu! Do szpitalika przyjmuje się tylko najbiedniejszych, których szpi-

tal leczyć już nie chce, lub rekonwalescentów, których przedwcześnie szpitale wydalają, chorych, którzy płacić nie mogą, w ogóle darmo zupełnie są leczeni i żywieni.

Funduszem Panien Ekonomek: Opatrzności Boskiej skarby, na które o tyle się spuszczają, że Jej bezgranicznie ufają, ale rąk nie zakładają, lecz jak pszczółki wciąż pracują, kwestą, urzadzaniem koncertów, odczytów, loteryi i t. p.

Prócz tego same osobiście służą chorym, oddając im najniższe posługi i czuwając w nocy, gdy tego zajdzie potrzeba. Błogosławi im Bóg, bo z dniem 5-go listopada obchodziliśmy urodziny trzeciego ich dzieła, a mianowicie odbyło się uroczyste poświęcenie i otwarcie, pierwszej w naszym kraju „szkoły dla fachowych pielęgniarek".

Myśl pierwszą rzuciła prezydentka Panien Ekonomek, nie spodziewając się wcale, że tak szybko w czyn zamienioną być miała.

Panowie lekarze niezmiernie zainteresowali się tą myślą, odczuwają oni bowiem najdotkliwiej w prywatnej swej praktyce, w swych lecznicach i domach zdrowia, brak umiejętnej pomocy. Społeczeństwo polskie też, domaga się pielęgniarek fachowych, które za granicą tak są znane, do kraju naszego nawet sprowadzane i drogo opłacane.

W domach prywatnych przy łożu chorego, jakież ważne i doniosłe zadanie pielęgniarki! Gdzie zakonnica i kapłan nie dotrze, tam pielęgniarka ma wstęp, a jeżeli prócz zawodowego wykształcenia, posiada i wychowanie religijne, wielki i nieoceniony jej wpływ i znaczenie przy łożu chorego. Takie to pielęgniarki chrześcijanki, pragną dać społeczeństwu Panny Ekonomki. Że Zgromadzenie Sióstr, całem sercem urzeczywistnieniu pragnień Panien Ekonomek dopomogło, to prawda, ofiarowało budynek, pozostały ze zwiniętego gospodarstwa domowego, który to budynek, Panny Ekonomki własnym kosztem urządziły.

Najczcigodniejszy ksiądz Wizytator, był główną sprężyną w zorganizowaniu tej szkoły, w zainteresowaniu panów lekarzy w ułożeniu statutów szkoły i planu nauk. Po mo-

żolnej pracy, wielu posiedzeniach z panami lekarzami, w dniu 5-go listopada odprawił Najczcigodniejszy ksiądz Wizytator Mszę św. o godzinie 10-tej w kościele Księży Misyonarzy, na którą zjechali zaproszeni panowie lekarze, stanowiący przyszłej tej szkoły zarząd, oraz ciało nauczycielskie; licznie się zeszły Panny Ekonomki, Panie Miłosierdzia i zaproszeni goście.

Po Mszy św. wszyscy uczestnicy udali się do nowo urządzonego domu, gdzie zgromadzili się w dużej sali przeznaczonej, na wykłady, ozdobionej przez Najczcigodniejszego księdza Wizytatora ofiarowanym, ślicznym obrazem św. Wincentego.

Po dokonaniu aktu poświęcenia w asystencyi kilku obecnych Księży Misyonarzy, przemówił Najczcigodniejszy ksiądz Wizytator, bardzo pięknie wyświetlając potrzebę i zadanie szkoły dla pielęgniarek, oraz składając gorące podziękowanie panom lekarzom, za tak chętne udzielenie pomocy w zorganizowaniu tej szkoły. Potem przemówił prezes szkoły p. profesor Pareński, zaznaczając, że pielęgniarka, choćby była obdarzona miłym charakterem i dobrą wolą, jeżeli nie posiada fachowego wykształcenia, nie może oddać prawdziwych usług cierpiącej ludzkości.

Po skończonych przemowach, goście zwiedzili budynek szkolny i internat, poszli jeszcze do ambulatoryum i szpitalika, rozeszli się wszyscy pod wrażeniem podniosłej tej uroczystości, z uczuciem, że rozpoczyna się dzieło pożyteczne dla ludzkości, oczekiwane oddawna i bardzo potrzebne.

Nazajutrz 6-go listopada, rozpoczęły się wykłady, sześciu panów lekarzy je głosi, obejmują, chirurgię, anatomię, fizyologię, ogólne uwagi o chorobach, ogólne uwagi o pielęgniarstwie, hygienie i pielęgniarstwo umysłowo chorych, kurs trwa półtora roku, pół roku głównie teoryi, rok praktyki w szpitalu św. Łazarza, poczem po złożeniu egzaminu przyszłe pielęgniarki otrzymują patent, dający im wstęp do wszystkich zakładów leczniczych w kraju. Uczennic zapisało się 20, uczą się pilnie, poza nauką ćwiczą się praktycznie

w opatrywaniu i pielęgnowaniu chorych, w szpitaliku i w ambulatoryum.

Jak każde nowe dzieło, tak i szkoła Pielęgniarek, spotyka się z krytyką. Najczcigodniejszy ks. Wizytator w takiej dyskusyi dał jasną i rozstrzygającą odpowiedź. Pielęgniarki będą, czy nam się to podoba lub nie, bo są potrzebą czasu. Czy nie lepiej żeby je wykształcić do Zgromadzenia w duchu Bożym aniżeli bezwyznaniowa ręka. Zarząd s/koły wewnętrzny spoczywa w ręku Sióstr, Panny Ekonomki pomagają, mają głos doradczy, myślą i pracują nad zapewnieniem dzieła u środków materyalnych. — W zakres nauk wchodzić ma kurs gotowania dla chorych; udzielać będzie tej umiejętności nauczycielka fachowa. Ufamy, że w ten sposób uczennice szkoły będą praktycznie przygotowane do przyszłego swego tak pięknego zawodu, który dając im utrzymanie godziwe da im możność pracowania dla chwały Bożej i dobra bliźnich.

Maryampol ad Halicz. *Jubileusz 50-letni Stowarzyszenia Dzieci Maryi.*—Stowarzyszenie Dzieci Maryi w Maryampolu datuje się od r. 1861. Dnia 30 maja tegoż roku przyjął ówczesny dyrektor Sióstr Miłosierdzia prowincyi krakowskiej śp. ks Klinger pierwsze aspirantki do tegoż Stowarzyszenia w Maryampolu. Niedługo potem, bo 15 września włożył im miejscowy proboszcz śp. ks. Żabiński medale Dzieci Maryi. Stowarzyszenie rozwijało się przez całe te lat 50 pomyślnie. Z pomiędzy dzieci Zakładu Sióstr „domowych" i z obrębu parafii t. zw. „przychodnich" zostało przyjętych przez te lata 739 Dzieci Maryi. z których 29 obrało potem życie doskonalsze w różnych zakonach i Zgromadzeniach, a 13 z nich zostało Siostrami Miłosierdzia. Dyrektorem tego Stowarzyszenia był przez pierwsze lat 10 wspomniany ks. proboszcz, Gabiński, a przez następne lat 40 był przezacny ks. Krauzowicz, kapelan Sióstr, któremu niestety nie dał Bóg doczekać tej uroczystości jubileuszu i zabrał go na miesiąc przed tem po nagrodę do nieba. — Oprócz zwyczajnych zebrań swoich miały Dzieci Maryi co rok trzydniowe reko-

lekcye pod przewodnictwem Księży Misyonarzy, którzy oprócz tego przy rozmaitych okazyach 30 razy w naukach zachęcali je do dobrego. Z dyrektorek Stowarzyszenia dwie pierwsze, t. j ś. p. Siostra Jabłońska i Siostra Zaręba przełożone domu Sióstr, z nieba już także, jak ufamy, łączyły się z nami w uroczystości jubileuszowej.

Sam dzień jubileuszu wypadał dnia 15 września, gdyż pragnęliśmy w tym dniu mieć u nas Czcigodnych Przełożonych prowincyi, którzy zajęci przedtem rekolekcyami Sióstr we Lwowie mogli przybyć do nas dopiero 30 września.

N. O. Wizytator zrobił nam szczególnie miłą niespodziankę, gdyż zaprosił także Czcigodnego Jubilata ks. Blocka, ks. Superyora Lewandowskiego i ks Linkerta. Zaledwie przybyli przezacni Goście, co żyło zbiegło się do kościoła, pragnąc dostać się do spowiedzi św. do Misyonarzy. Toteż spowiadali wszyscy do późnego wieczora, przy pomocy niezmordowanego ks. kanonika i kilku innych księży z pobliskich parafii. Pomimo to, jeszcze tłumy pobożnych zostały na nazajutrz.

W sam dzień jubileuszu to jest 21 września N. O. Wizytator odprawił pierwszą Mszę św., śpiewaną, przy której rozdał mnóstwo Komunii św. później było jesze 9 Mszy św. i nareszcie suma, którą śpiewał Czcigodny ks. Block, podczas tej sumy zastępy Dzieci Maryi w białych sukienkach z liliami w ręku i welonach na głowie zapełniały kościół Uprzywilejowana gromadka tychże trzymała dwie nowe bardzo piękne, z okazyi jubileuszu wyhaftowane chorągwie, jedna Dzieci Maryi domowych, druga przychodnich; obie czekały na poświęcenie. Po środku przed balaskami stanęli i chłopcy Dzieci Maryi ze swoją chorągwią Ci mieli komże i wstęgi niebieskie przepasane na kształt stuły dyakona. Podczas sumy N. O. Wizytator wygłosił okolicznościowe kazanie. Przypomniawszy, że jubileusz był prawem Bożem nakazanym w Starym Testamencie, dla podziękowania za odebrane dobrodziejstwa, dla przebłagania Majestatu Bożego, za popełniane niewierności i oddania się Mu na do-

skonalszą służbę, zaznaczył że i ten jubileusz Dzieci Maryi, ma być także aktem dziękczynnym, aktem przebłagania, a szczególnie pobudką do odnowienia się w duchu Stowarzyszenia, który jest duchem pokory, posłuszeństwa, skromności i miłości. Zalecał bardzo żeby urzędniczki czuwały nad tem, aby nie przyjmować i nie ścierpieć w Stowarzyszeniu dających zgorszenie, stosujących się zwłaszcza do tegoczesnej mody, ale położył nacisk nato, że czuwanie nad dobrem postępowaniem towarzyszek, niema być rodzajem szpiegostwa, ale aktem prawdziwej miłości, z gorliwości o chwałę Bożą pochodzącej. Po summie, N O. Wizytator miał znów naukę od ołtarza z okazyi poświęcenia sztandarów. Porównał wagę jaką przywiązują żołnierze do swoich, jakim to zaszczytem jest stać pod tą chorągwią, bronić jej, życie raczej w jej obronie położyć, a nie dopuścić żeby nieprzyjaciel miał ją zagrabić i zbezcześcić. Tak samo i Dzieci Maryi mają stać wytrwale pod chorągwią Niepokalanej Matki swojej, bronić jej sławy przez wykonywanie cnót im poleconych, a szczególnie czystości, którą przyświecać powinny we właściwym stopniu, wedle stanu w jakim żyją. Powinny gorliwością swoją zachęcać innych do pobożności, tym sposobem będą bronić chorągwi Niepokalanej i raczej umrzeć, aniżeli przeniewierzyć się złożonym Jej obietnicom. Po tej króciutkiej, ale ognistej przemowie, Najprzewielebniejszy Ojciec Wizytator dokonał poświęcenia dwóch sztandarów. Kumotrami byli dla pierwszego sztandaru JWP. Cieński z JWP. Doktorową Madejską, a w drugiej parze Przewielebny ks. kanonik Anger z panną Cieńską z Wodnik. Kumotrami drugiego sztandaru byli: p. Dr. Madejski z JWP. Cieńską i p. Spisydowicz naczelnik Kasy powiatowej z JWP. Budzyńską z Międzyhorzec. Następnie wyszła z kościoła procesya ze świecami we wielkim porządku, do przeciwległej wjazdowej bramy, droga wysadzana na tę uroczystość drzewkami i chorągwiami, dla poświęcenia tam, nowo ustawionej rzeźbionej w kamieniu figury N. P. Niepokalanej, jako pamiątki tego jubileuszu. Poświęcenia tego doko-

nał sam pasterz, Przewielebny ks. kanonik Anger, przy asyście dziesięciu kapłanów, i znów wypowiedział u stóp nowo poświęconej figury, bardzo podniosłe, trudne kazanie, w którem wykazał jakiem to jest dobrodziejstwem dla Maryampola to Stowarzyszenie Dzieci Maryi, że przez nie N. Panna stała się szczególną Opiekunką i Matką całego miasta, gdyż Dzieci Maryi, przez swoją pobożność, wrzędzie cześć Jej rozszerzają. Zaznaczył także, że jeżeli członkowie Stowarzyszenia wiernie zachowują swoje statuta i ćwiczą się w cnotach im właściwych, wysługują sobie nawet przez to łaskę powołania Zakonnego, gdyż od czasu jak tu założono Stowarzyszenie, już 30 dziewic poświęciło się na wyłączną służbę Bożą w rozmaitych Zakonach. Zachęcał nareszcie, żeby Dzieci Maryi, przy tej nowej figurze często się modliły, żeby tu szukały pociechy, rady, — żeby u stóp Maryi składały swoje łzy i cierpienia i żeby były wdzięczne za ten nowy dowód Jej macierzyńskiej opieki. — Przez czas tego kazania, dwie dziewczynki, z koszykami przebiegły szeregi Dzieci Maryi i rozdawały im kwiaty, które to znów, po skończonem kazaniu, obchodząc procesyonalnie, ze śpiewem i przyklękaniem nowo poświęconą figurę, u stóp Jej rzucały. Po tym hołdzie, zaśpiewano „Magnificat“, a następnie z pieśnią „Serdeczna Matko“ powróciła procesya do kościoła. Przy drzwiach kościoła dwie Siostry rozdawały obrazki pamiątkowe, a pokaźna ich liczba: 900, dowodzą jak liczne było zebranie. Na tem zakończyło się nabożeństwo poranne. Po uroczystych nieszporach, na prośbę N. O. Wizytatora sam Przewielebny ks. kanonik Anger przyjął do niebieskiego Medalu 13 dzieci, poprzedziwszy tę ceremonię, odpowiednią przemową. Ażeby Dzieci Maryi mogły w całej pełni użyć i nacieszyć się tym dniem u stóp ukochanej swojej Matki, zostały już na cały dzień w klasztorze, tu miały śniadanie obiad i całe przyjęcie, a nie tylko Maryampolskie dzieci, ale nawet zaproszone z Bursztyna, które w liczbie sześciu wraz z Przewielebną Siostrą Marek, ogromnym drabiniastym wozem, na tę uroczystość przybyły. Na następnem zebraniu,

jakie miały z Przewielebną Siostrą Przełożoną, przeczytano im list od Najprzewielebniejszego Ojca Generała, w którym przesyła im swoje błogosławieństwo.

Nowosiółki. W dniach 26 — 30 listopada odbyła się w tutejszym kościółku Sióstr misyjka, odprawiona przez księży Misyonarzy z Milatyna.

Oto co pisze o niej tamtejsza Siostra Przełożona w liście do ks. Wizytatora:

„Z największem podziękowaniem i wdzięcznością donoszę Najczcigodniejszemu Ojcu, że mała misya w Nowosiółkach bardzo się udała. Korzystali nietylko Polacy ale i wielu Rusinów. Komuni św. rozdano przeszło 1000. Już w niedzielę na wstępne nieszpory kaplica była przepełniona ludem. Ponieważ nasi ojcowie dla złej drogi jeszcze nie nadjechali z Milatyna, przemówił do ludu po nieszporach ks. Dziekan bardzo ogniście, zachęcając parafian, by wszyscy korzystali z dobrodziejstwa misyi Przez wszystkie cztery dni kaplica była przepełniona. W słuchaniu spowiedzi oprócz księży parafialnych pomagali księża Czajkowscy ze Złoczowa i ks. Leńko z Białegokamienia. Podczas misyi odbyło się również przyjęcie dziewcząt do Stowarzyszenia „Dzieci Maryi“ i chłopców do „Sodalicyi Maryańskiej“; sodalisów do medala niebieskiego przyjęto 24, zaś mniejszych chłopców na aspirantów Sodałicyi i Anioła Stróża przeszło 50; na pierwszy raz piękna liczba. Dzięki Bogu, że obecny ks Kapelan jak i poprzednik jego bardzo gorliwy; chętnie chodzi do szkoły na zebrania i cieszy się z licznego zgromadzenia młodzieży; gospodarzy zaś gromadzi sobie w niedzielę wieczorem do czytelni, która jest w budynku szkolnym na wsi.

„Ceremonia przyjęcia do Stowarzyszenia „Dzieci Maryi“, której wzniośle dopełnił ks. Buchhorn bardzo się podobała ks. Dziekanowi i księżom Czajkowskim ze Złoczowa. Owa misya bardzo się przydała w Nowościółkach zwłaszcza w tym czasie, gdy wielu ludzi powróciło z Prus“.

Ameryka południowa.

O przybyciu Sióstr do **Parany** piszą nam stamtąd pod datą 27-go września 1911 roku:

„Siostry nasze przybyły do Abranches 12-go sierpnia wieczorem. Ks. Mięsopust, który bawił w S. Paulo wyjechał po nie do Santos. Jego staraniom zawdzięczają też głównie, że na cle tak gładko poszło i pomimo tylu pudeł i koszów nic nie potrzebowały płacić Trudno opisać radość Sióstr z przybycia Towarzyszek. Dziwnego jakiegoś doznaje się uczucia, zda się człowiekowi, że kawał starego kraju, że część Ojczyzny z temi osobami przybyła. Zabawiły w Abranches przeszło trzy tygodnie, gdyż tak długo trzeba było czekać na bagaże wysłane przez Paranaguę, a trudno było bez pościeli etc. do nowej przenieść się siedziby Wszystkie te nowe Siostry są bardzo zadowolone. Dzięki Bogu za to, wiele to znaczy, gdy się człowiek z ochotą zabiera do pracy. Na Thomaz Coetho mają już około 50 dzieci, a codziennie nowe się zgłaszają; ludzie poczciwi znoszą im, co tylko mogą i mają najlepszego, i niezmiernie są kontenci z przybycia Sióstr“.

Ś. p. Irena Łuszczewska.

Drugi rok już upływa od śmierci ś. p. Siostry Łuszczewskiej, a Roczniki nic o tem dotąd nie wspomniały, choć wyjątkowe bardzo jej znaczenie domagało się tego koniecznie. Żeby zaniedbanie to choć w części naprawić, podajemy notatkę pośmiertną, zamieszczoną w Dzienniku poznańskim, z dnia 18 października 1910 roku.

„Ś. p. Siostra Irena Konstancya Łuszczewska, długoletnia Przełożona Zakładu św. Józefa w Poznaniu, zasnęła w Bogu dzisiaj o godz. 2 w nocy.

Piękna i od Boga do szczególnych poruczeń wybrana to dusza, cicho, spokojnie i w wewnętrznem połączeniu z swym Boskim Oblubieńcem, stanęła u podwoi niebieskich, aby otrzymać nagrodę wielką za życie, pełne pracy i poświęcenia, a mianowicie za życie nacechowane heroiczną miłością i głęboką wiarą,

Ojciec ś. p. Ireny Łuszczewskiej, Adam Łuszczewski przepędził pierwsze swe lata w majątku rodzinnym Strugach pod Sochaczewem, a był synem Jana Pawła Łuszczewskiego, ministra spraw wewnętrznych, za panowania ostatniego króla polskiego. Obrano Adama posłem sochaczewskim na sejm warszawski roku 1830, na którym podpisano protest przeciw tytułowi króla polskiego, który sobie car przywłaszczył. Rząd rosyjski skazał go za to na odcięcie prawej ręki, wywiezienie na Sybir i skonfiskowanie wszystkich dóbr i posiadłości. Cudem nieomal, przebrany w siermięgę, a goniony przez rosyjskich żandarmów, przedostał się przez graniczną

Wisłę. Udał się najprzód do Drezna, dokąd podążyła za nim młodziutka jego małżonka, ś. p. Teofila ze Skarzyńskich Łuszczewska, przywożąc ze sobą bardzo skromny zasób pieniężny. Rząd rosyjski wszystko skonfiskował, pałac w Strugach obstawił wojskiem, a ruchomości wszystkie kazał opieczętować. W Dreźnie niedługo się cieszyli rodzice ś. p. Siostry Ireny, spokojnem pobytem, albowiem rząd pruski nie chciał dłużej znosić emigrantów polskich, więc podążono do Paryża.

Tutaj w Paryżu przyszła na świat ś. p. Irena Konstancya Łuszczewska, dnia 20 grudnia roku 1835. Od roku zaś 1840 zamieszkała przezacna ta rodzina w Poznaniu i tutaj rozwijały się cnoty ś. p. Ireny pod opieką przykładnych rodziców i dobranych nauczycieli.

Na pogrzebie ś. p. Adama wyrzekł kaznodzieja żałobny, ks. Aleksander Prusinowski te słowa: „Z jakąż bacznością sam (ś. p. Adam) przeczytał każdą książkę, nim ją podał dziatkom, sam z sumienną pieczołowitością poznawał nauczycieli, którzy mieli być przewodnikami dziatek. Wiedział Adam Łuszczewski, iż daremne są nasze skargi na brak ludzi, którzyby upadającemu narodowi mogli być i w upadku podporą i lepszej przyszłości rękojmią, daremne usiłowania około publicznego dobra, jeżeli nie będziemy sobie sami sposobili, w troskliwem i sumiennem wychowaniu, młodzieńców, coby i z dostatecznem przygotowaniem umysłu i z dzielnem ustaleniem woli i charararakteru, mogli pojąć zadanie na naszych pokoleniach ciążące i pojęte obowiązki z silną wykonać wolą; jeżeli nie będziemy wychowywać córek, coby dawnych matron wzorem, umiały zarządem domu, uszczęśliwieniem rodzin sposobić szczęście narodu. Ognisko domowe jest narodowej pomyślności gniazdem. Przejął się tą prawdą drogi nasz zmarły i tak swą rodziną zarządzał, tak swoje wychowywał dziatki.“

Głęboko przez takie wychowanie zakorzeniona cnota i pobożność, wydały niezadługo swe owoce w ś. p. S. Irenie. Prócz tego atoli można było spostrzedz w młodziutkiej pa-

nience niejakie przeznaczenie Boże do późniejszego życia. Mimo wysokich koligacyi z pierwszemi rodzinami polskiemi, jak z księstwem Woronieckimi, z hrabstwem Skarzyńskimi, z Cieciszewskimi, z Chłapowskimi, z Łąckimi i t. d., nie myślała o blasku tego świata i ponętach znikomych.

Ś. p. S. Irena jeszcze kilka dni przed śmiercią opowiadała, jak to śmiesznem jej się wydawało, gdy ją pierwszy raz ubierano w suknię białą jedwabną, aby poszła z rodzicami na pierwszy bal. Co innego ją pociągało. Rychło rano dążyłakażdego dnia z ulicy Młyńskiej, przy której rodzice jej mieszkali, do kaplicy P. Jezusa cudownego przy kościele św. Jana za miastem.

Tutaj zatapiała się w modlitwie, prosząc Boga o światło i radę na życie; tutaj ta piękna dusza zaprawiała się w szkole swego Mistrza, który przyniósł na świat ogień prawdziwej miłości; tutaj wiernie idąc za natchnieniami łaski Bożej poznała i wyprosiła sobie powołanie do życia, pełnego poświęcenia

„Powołał ją P. Bóg pod pokorny kornet Chrystusowej służebnicy, podczas gdy siostrę jej rodzoną pod „mitrę książęcą“ — tak mówił ks. Al. Prusinowski — a jedną i drugą z równą pogodą poprowadziła do ołtarza ich matka, Teofila Łuszczewska.“

Nowicyat odbyła ś. p. Siostra Irena, jako ośmnastoletnia, panienka, w domu macierzystym Sióstr Miłosierdzia w Paryżu, poczem odesłano ją do Poznania, gdzie kilka lat przebywała w domu Przemienienia Pańskiego.

Sześć lat po zakupieniu pierwotnego parterowego, o czterech oknach domeczku na zakład św. Józefa, powołano ś. p. Siostrę Irenę na przełożoną tegoż zakładu roku 1859. Przy tym zakładzie pracowała zmarła jako przełożona przez pięćdziesiąt i jeden rok.

Całą swą duszę, pełną litości i dobroci, rozwinęła nad biedą, nad nędzą, nad potrzebującymi.

Cicha w pracy i wytrwała, poszła śladami swego Ojca duchownego, św. Wincentego a Paulo. Nie pominęła żadnego szczegółu, jaki dosięgnąć mogła, a który mógł przynieść

ulgę potrzebującym. Z tego małego domku powstał w przeciągu owych pięćdziesięciu przeszło lat jej przełożeństwa zakład wielki, w którym mieści się ochrona na 200 dzieci, szwalnia pokaźna, szpital dla 40 staruszek, dom zdrowia dla blizko 170 dzieci, w którym urządzono osobne izolowane stacye dla zakaźnie chorych. W szpitalu leczono w ostatnich 25 latach 10 290 dzieci, a w poliklinice udzielano parad lekarskich i wolnych lekarstw 100 602 dzieciom, prócz tego udzielono 235.711 kąpieli leczniczych.

Ile to łez osuszonych, ile to pocieszonych stroskanych serc, ilu to zaprowadzonych na dobrą drogę. Wszystko to dziełem tej, która dzisiaj leży na marach zimnych.

Trzeba było patrzeć na tę dobroć, bijącą z każdego jej słowa, jej ruchu. A jak umiała sobie zjednywać serca tych, którzy się wstydzą swej biedy, przez dyskretne, a pełne miłości wspomaganie! Nie przesadzę, mówiąc, że miliony serc przepełnione są miłością i wdzięcznością ku ś. p. Siostrze Irenie Łuszczewskiej.

Wielkiego dzieła dokonała, że szukać temu podobnego w Księstwie Poznańskiem, a jednak do ostatniej chwili nie usypiał duch jej, pragnący nieść pomoc innym. Marzeniem było ś. p. Siostry Ireny, aby dokonać budowy domu zdrowia, który dotychczas za jej staraniem do połowy stanął. Niestety zabrakło funduszów, więc odkładało się dokonanie jej marzeń.

A jednak, czy właśnie teraz nie byłby czas, aby ziściły się te zacne a wzniosłe pragnienia tego serca, już nie bijącego, ale zawsze czuwającego nad swą dziatwą, nad swem dziełem? Uwiecznijmy jej pamięć i dajmy dowód uznania tej, która teraz za nas modlić się będzie.

Podczas choroby z etapami bardzo bolesnymi, obejmowała myślą cały zakład św. Józefa. O najmarniejszej rzeczy pamiętała, o każde dziecko się wypytywała. Dawała rady, jak postępować w najdrobniejszych sprawach. Gdy się zaś dowiedziała, że jakie dziecko bardzo chore, lub kto na

mieście potrzebujący, zapominała o swych boleściach, dawała rozporządzenie, jak zapobiedz złemu.

Uprzejmość jej dziwnie słodka, połączona z pokorą tak głęboką, nigdy nie rażącą, bo prawdziwą, podbijała serca wszystkich którzy ją znali, bez wyjątku wyznania i narodowości. Razem z pokorą, która jest czystością serca, szła jej dziewiczość tak jasna, że każdy zbliżający się do niej czuł się albo lepszym, albo zachęconym do doskonalszego życia.

Żyła dla Boga i w tem źródło tej siły i wytrwałości, jakie wśród życia okazywała. Nigdy nie odbierała Bogu tego, co raz ofiarowała. Oddała całą istotę, którą jej Boski Oblubieniec wziął w zupełne posiadanie.

Życie jej czynne, a taki spokój roztaczające naokół, było szkołą jej śmierci, również czynnej w pełność i całkowitość ofiary, z jaką Bogu się wraz z cierpieniami oddała, a zarazem nacechowanej cichością i spokojem jakie ufność, w dobroć i miłosierdzie Boże do duszy naszej wlewa. Ta piękna śmierć stała się dla ś. p. Ireny Łuszczewskiej chwilą narodzin ku życiu rzeczywistemu, nie znającemu ni łez ni boleści, którego wiekuistem ciepłem i światłem, Trójca Przenajświętsza. Ostatnie jej słowo: „Pójdziemy modlić się do Jezusa.“

Patrząc na śmiertelną powłokę na marach lężącą, spostrzegamy na jej pięknem obliczu unoszącą się aureolę uwitą z kwiatów dziewictwa, pokory i cichości.

Ś. p. Siostra Tekla Wężyk.

Ś. p. Siostra Tekla Wężyk urodziła się 27 stycznia 1830 r. w Krakowie przy ul. św. Jana, w domu Prezesa Senatu, wolnego naówczas miasta, Wojewody Stanisława Wodzickiego, wuja matki. — Rodzicami jej byli kasztelan senator Franciszek Wężyk i Felicya z hr. Mieroszewskich. Z powodu wielkiej słabości ochrzczono ją w domu na drugi dzień dnia 28 stycznia. Otrzymała imiona Tekla Joanna Karolina. Rodzicami chrzestnymi był wuj matki, Józef hr. Wodzicki, znany miastu Krakowu, rzadkich cnót obywatel, i Eleonora Wodzicka, żona Jakóba hr. Wodzickiego.

Dziecię oddano pod szczególną opiekę Najśw. Panny z obietnicą ubierania do lat 12-tu w Jej barwy: biało i niebiesko. Obietnicy wiernie dochowano, a dziecię wzrastając w lata z dniem każdym kochało więcej swoją Niebieską Opiekunkę i Matkę.

W cieple kółka rodzinnego dziecię rosło zdrowo przy sercu świątobliwej matki, która z uszczerbkiem osłabionych sił i zdrowia sama je karmiła, przez co tak silne obudziło się przywiązanie, że nikogo nie znało i od nikogo nic nie przyjmowało usług, tylko od matki. — Matka przez całe życie była dla niej najdroższą istotą na ziemi, wzorem i przykładem cnót, uosobieniem wszystkiego, co dobre i szlachetne, aniołem stróżem ziemskim, z którym rozstała się po raz pierwszy i to na zawsze przy wstąpieniu do Zgromadzenia.

Nauki pobierała w domu pod kierunkiem uczonego i rozumnego ojca, który wybierał sam profesorów, odpowiadających jego wygórowanym wymaganiom. Obdarzona nie-

zwykłymi zdolnościami, otoczona rodziną i ludźmi o wysokiem wykształceniu, rozwijała się szybko, kształciła wszechstronnie. Ojciec, prezes Akademii umiejętności, literat, gromadził w swym domu wszystkie wybitne znakomitości świata naukowego, a wszystkim tym uczonym rozprawom przysłuchiwała się Tekla z uwagą, a dorósłszy brała w nich udział. O ile ojciec troszczył się o rozwój głowy, o tyle pobożna matka rozwijała serce, zaprawiając od zarania do dzieł miłosierdzia. Sama obrana prezesową zawiązanego stowarzyszenia Pań św. Wincentego a Paulo, wdrażała i ukochaną córkę do tych dzieł Bożych. Zajęła się też i praktyczną stroną wychowania, ucząc każdej pracy, by każdą znała, każdą szanowała, by umiała drugich nauczyć, zarządzić, by znała się na wszystkiem. To też nie było żadnej gałęzi wiedzy, żadnej pracy, którаby była obcą Siostry Tekli. Pod tak dzielnym kierunkiem wcześnie dojrzała, a widząc, że matka jej ukochana cierpiąca, nie może zajmować się domem, objęła zarząd i gospodarowała z zadowoleniem rodziców. Sobie wystarczała zupełnie, żadnej służącej nie dała nic robić koło siebie. Opiekowała się też młodszą chorowitą siostrą, bardzo kapryśną, która później została karmelitanką. Gdy Tekla ukończyła rok 12-ty, przyjęła pierwszą Komunię św. w dniu 27 stycznia 1841 r. Od tego czasu zaczęła pomagać matce w jej dziełach miłosierdzia. Wstawała bardzo rano, udawała się na mszę św., na której codzień komunikowała, i wracała do domu, kiedy zaledwie domownicy budzić się zaczynali. P. Prezesowa widząc, że środki Towarzystwa za szczupłe, by wystarczyć mogły na zaopatrzenie potrzeb mnóstwa potrzebujących, założyła sklep, w którym oprócz różnych towarów sprzedawano różne zbytkowne robótki Pań. S. Tekla chcąc być użyteczną wyuczyła się krawieczczyzny, modniarstwa, białego szycia, haftu, i robotami swemi zasiłała magazyn matki, ocierając w ten sposób wiele łez. — Znaną też była w całym Krakowie, wszystkie matki dawały ją za wzór swym córkom, a wiele panien szło za jej przykładem. Jedna z Sióstr, która S. Teklę w tym czasie znała, opowiadała, że ona i jej

towarzyszki uważały ją za świętą i nieraz cichutko szły za nią ulicą i wstępywały w ślady, które ona wycisnęła, uważając je za święte, a w kościele oczu oderwać nie mogły od jej postaci pełnej skupienia i nabożeństwa. — Pobożność jej gruntowna nie przeszkadzała jej jednak, by w towarzystwie być wesołą, ożywioną. Przekładała zawsze towarzystwo męskie, gdyż, jak twierdziła, rozmowy były poważniejsze, zajmowano się więcej literaturą, sztuką lub wreszcie w tych ciężkich dla narodu czasach, sprawami kraju. — Nie cierpiała zarówno banalnych plotek, w ogóle rozmów lekkich, dla zabicia czasu. — Mówiła mało, ale to co powiedziała, było rozumne, czasem zaprawione dowcipem a zawsze z uwagą, by nie naruszyć miłości bliźniego. — Rodzice kochali też ją bardzo i pragnęli zapewnić jej los. S. Tekla jednak o wyjściu za mąż ani słyszeć nie chciała. Najmilszą podróżą dla niej była pielgrzymka do Częstochowy, do Tej ukochanej Patronki, której od chwili urodzenia oddaną, była w opiekę. Opowiadała sama, że gdy o milę zobaczono z daleka wieżę jasnogórską, wszyscy wysiadali z powozu, całowali ziemię i resztę drogi odbywali pieszo — Nabożeństwo do tej Królowej Polski i Litwy zachowała do śmierci, przykładała do miejsc bolących Jej obraz. Jej pomocy wzywała i wszystkich Jej pieczy polecała, wszystkim Jej obraz dawała, a najmilszą jej modlitwą było „Pod Twoją obronę".

Wychowana w dostatkach w rodzicielskim domu, słynącym z gościnności, ukochała prostotę we wszystkiem, w urządzeniu domu, w ubraniu. w jedzeniu. Wszystko, co posiadała, co kupowała, było gustowne, piękne, pełne dobrego smaku, ale nie zbytkowne. — Gdy dorosła, stała się prawdziwą Opatrznością dla rodziny. Pielęgnowała chorego szwagra, siostrzeńców i siostrzeniczki, otaczała szczególniejszą opieką matkę, której zdrowie pozostawiało wiele do życzenia.

Szczególniejsza przyjaźń łączyła ją z ks biskupem Łętowskim i z ks. Antoniewiczem. Ci dwaj przyjaciele domu ułatwili S. Tekli opuszczenie domu. Po wstąpieniu do Kar-

melu młodszej siostry, Siostra Tekla została jedyną pociechą rodziców, długo ukrywała budzące się powołanie, wreszcie zwierzyła się matce, do której miała nieograniczone zaufanie. Choć z bolem serca, świątobliwa ta pani nie chciała się sprzeciwiać woli Bożej, ale pan Kasztelan ani słyszeć o tem nie chciał. Próbował wszelkich sposobów, by odwieść córkę ubóstwianą od tego zamiaru, ale nadaremnie, głos Boży był silniejszy. Po 2 latach udręczenia, próśb i perswazyi, gdy nic nie mogło przekonać ojca do dania zezwolenia, S. Tekla postanowiła wyjechać, — choć z chwilą jej wyjazdu zapowiedział jej ojciec, przestaje uważać ją za córkę — Ciężkie to było przejście — zwyciężyła jednak mężnie ból serca. W pierwszych dniach maja 1853 roku wyjechała z ukochanego domu i Krakowa w towarzystwie matki i najstarszego brata Józefa, którzy odwieźli ją do postulatu w Poznaniu. — Ponieważ p. Kasztelan posagu dać nie chciał, więc kwestyę pieniężną załatwił brat p. Józef Wężyk, wypłacając legat po stryju, który ciążył na jego majątku. Suma to była aż nadto wystarczająca. Pani Kasztelanowa zabawiła parę dni w Poznaniu, odwlekając jak można najdłużej chwilę rozłąki, która dla obu tych wybranych dusz była konaniem. A jednak i te więzy zerwała mężnie ta dzielna sługa Boża, i bohaterska matka. — Postulat rozpoczęła w Poznaniu u Przemienienia Pańskiego, 17 maja 1853. Czas próby zeszedł jej szybko pod okiem ukochanej śp. Siostry Filipiny. Pod koniec postulatu Najprzew. Ojciec Etienne zjechał do Poznania i zabrał z sobą S. Teklę do Paryża do Seminaryum 5 września 1853 r. Tu pierwsze rekolekcye odprawiła 6 listopada tegoż roku. Po wzięciu św. sukni, umieszczoną była w Sekretaryacie w domu Macierzyńskim, skąd wyjechała do Poznania. — Tu w domu Przemienienia Pańskiego sprawowała różne urzędy, była przy aptece, przy chorych, w Sekretaryacie. Z tego czasu opowiadała sama, że w aptece trzeba było co tydzień obcierać z prochu każdą flaszeczkę. Robota ta ogromnie ją nudziła, to też ofiarowywała ją na różne intencye i w ten sposób wykonywała ją

jak najdokładniej. Ponieważ Sióstr było mało, więc do swego urzędu, który bardzo wiele dawał zajęcia, gdyż wszystkie lekarstwa fabrykowano w domu, miała jeszcze 5 innych, a między nimi i zajęcie się postulantkami. Energiczna, pełna poświęcenia, kochała pracę, więc też każdą chwilę wykorzystała na chwałę Bożą, pożytek bliźnich i swej duszy. Gdy była przy chorych, oddawała im najniższe posługi z poświęceniem bez granic, prosiła tylko, by nie była pierwszą, przez delikatność sumienia bowiem obawiała się, by który chory nie umarł bez Sakramentów św. a odpowiedzialność za to przedewszystkiem ciążyła na niej w urzędzie. W tym czasie jak i przez cały długi szereg lat powołania miała oddaną sobie kaplicę, którą zdobiła z miłością, gustem i oddaniem, jaki wypływa z żywej wiary. 27 września 1858 złożyła 1-sze śluby w Paryżu. Wyjechała do Paryża tak nagle, że nic z rzeczy nie miała przygotowanych. Ta, co tak bardzo ukochała ubóstwo, do św. Ślubów miała suknie pożyczane, i to od 3 Sióstr, by dopasować jako tako do jej figury. Wkrótce po złożeniu Ślubów św. wróciła do Poznania, nie na długo jednak, bo już w następnym roku widzimy ją w Sekretaryacie w Paryżu, dokąd przybyła 28 września 1859 roku. W następnym roku powraca do Poznania. — Zdaje się, że w tym czasie nastąpiło pojednanie z ojcem. Siostra Filipina, widząc, ile cierpi S. Tekla wskutek gniewu ojca, dowiedziawszy się, że rodzice wracając z wód zatrzymają się w Wrocławiu, pojechała tam z S. Teklą i po długich staraniach udało się ojca przebłagać.

Odtąd odwiedzał córkę w Poznaniu, a dłużej zatrzymywał się, gdy zbierał składkę na budowę domu dla Akademii Umiejętności. — Rząd, a raczej Bismark śledzili kroki p. Kasztelana, wreszcie polecono mu opuścić Prusy, a nazwisko jego zapisane zostało jako podejrzane o patryotyzm szkodliwy dla państwa. — Nienawiść ta przeniosła się i na S. Teklę, bo gdy w czasie Kulturkampfu rozpoczęły się prześladowania, S. Tekla, jako Wizytatorka prowincyi Chełmińskiej (od maja 1875 do grudnia 1876) ciężkie przeszła chwile.

Odpowiedzialność za wszystkie domy, strach, by w którym nie postąpiono nietaktownie, skłoniły ją do wydania cyrkularza, w którym podyktowała odpowiedzi na zadawane przez rząd pytania, objeżdżała domy, pilnowała wszystkiego z troskliwością i czujnością macierzyńską. Gdy w sprawie księży wzywana na świadka, nie chciała zeznawać po myśli rządu, uwięziona, przesiedziała w więzieniu jakiś czas, wypuszczona na wolność pilnowała dalej sprawy Bożej. Gdy po powrocie do zdrowia Siostry Hauke złożyła urząd Wizytatorki i przeniosła się do Lubawy, Bismark zaczał ją prześladować. Dlatego kilka miesięcy kryła się przebywając co dni parę w innym domu. Wreszcie dopadła i wyśledziła ją policya, musiała własnoręcznie przeciąć sznury, którymi przyszyte było pismo Bismarka, wydalające ją z granic państwa niemieckiego na zawsze, z terminem wyjazdu, zdaje się do dni 14. — Uporządkowawszy interesa wyjechała do Francyi, żałując całe życie, że wyjechała dobrowolnie. Mówiła ze śmiechem: „Mogłam była jechać darmo, byliby mię żandarmi odstawili do granicy“. Żal jej było tej Prowincyi, w której była kolebka jej powołania, w której spełniała wszystkie urzęda w domach i radzie, w której praca jej była tak wydatną, a dzieła rozwijały się cudownie. — Miłość i zainteresowanie dla tej Prowincyi zachowała do śmierci. Po wyjeździe Najprzew. Przełożeni przeznaczyli ją do Metz, a gdy posterunek ten w obec dekretu Bismarka był niemożliwy, do szpitala wojskowego. Tymczasem umieszczona w Vincenne dla przyuczenia się prowadzenia tego szpitala, pozostawała w nim czas dłuższy, gdyż otwarcie szpitalu w Kadyksie odłożono. Po roku pobytu w Vincenne została mianowaną Siostrą Służebną w Disru w Belgii. Jak sama mówiła, nigdzie nie była tak szczęśliwą, jak tam. Tu jednak zaczęło się budzić pragnienie pracy na niwie rodzinnej dla ludu wiejskiego, który tak bardzo ukochała. — Chciała też z majątku odziedziczonego po rodzicach utworzyć fundacyę ku ich pamięci. (Dokończenie nastąpi).

Pro memoria!

Confratres nostrae provinciae quoad SS. Confessiones in aliis dioecesibus excipiendas, ea quae sequuntur, attendant:

In dioecesi Tarnoviensi omnes sacerdotes nostri, de mandato vel licentia R. A. D. Visitatoris sive Confratribus sive sacerdotibus saecularibus iuvamen ferentes gaudent iurisdictione ad excipiendas Confessiones quorumcumque fidelium, etiam quoad casus reservatos (dat die 10. I. 1908).

In dioecesi Premisliensi omnibus nostris sacerdotibus qui de mandato vel licentia Superiorum illuc perrexerint, concessa est iurisdictio ad excipiendas fidelium Confessiones cum facultate absolvendi a casibus reservatis, die 15. Novembris 1911, ad triennium.

Intra fines archidioeceseos Leopoliensis pollent iurisdictione omnes nostri presbyteri: a) qui ad iuvamen ferendum a Superioribus ad tempus illuc mittuntur; b) qui ad tempus cum Superiorum licentia in praefata archidioecesi commorando, ut SS. Confessiones excipiant, rogantur; c) qui domibus Congregationis dictae archidioeceseos applicantur, donec facultates respectivas ab Ordinariatu in scriptis obtineant. — *NB.* Potestas absolvendi a casibus reservatis singulis concedetur Confratribus, pro quibus a R. A. D. Visitatore postulabitur. — Cfr. Rescriptum de die 22. XI. 1911.

In dioecesi Wratislaviensi iurisdictio ad excipiendas Confessiones Sororum Caritatis concessa est nostris Confratribus, usque ad revocationem, rescripto de die 27 Decembris 1905. Quae facultas per litteras Eminentissimi Principis Episcopi, datas die 4 Decembris 1911, extenditur ad audiendas etiam fidelium, tum domesticorum, Sororum tum aliorum pie petentium Confessiones, quando Confratres ad Sororum excipiendas Confessiones ibidem morantur, dummodo parochi iure non contradicant.

In archidioecesi Posnaniensi competit nostris Confratribus iurisdictio ad quinque annos (dat. d. 16. I. 1908).

In archidioecesi Gnesnensi omnes Confratres, qui de mandato vel consensu Superiorum ibidem degunt, iurisdictione ad audiendas confessiones omnium fidelium, etiam quoad casus reservatos, gaudent (dat. die 16 XI. 1911, ad quinque annos).

In dioecesi Culmensi concessa est facultas excipiendi Confessiones quorumcumque fidelium una cum facultate absolvendi a casibus reservatis omnibus provinciae nostrae sacerdotibus, de licentia vel mandato R. A. D. Visitatoris dictam dioecesim petentibus, ad dies officii R. A. D. Słomiński, Visitatoris (de die 13. I. 1908).

In dioecesi Warmiensi omnes Confratres, quando ad ministerium spirituale in Sororum Caritatis domibus illius dioeceseos (Malborg et Olsztyn) explendum proficiscuntur, confessiones etiam omnium fidelium, dum ibidem morantur, valent excipere atque, si opus fuerit, a casibus reservatis absolvere (dat. die 20. XI. 1911).